



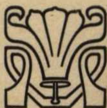
Żonie mojej Krystynie,
z którą przeżyliśmy te chwile i wiązaliśmy te wspomnienia, poświęcam

STEFAN OKULICZ

[redacted]

OBRAZKI Z 1863 R.

»Błogosławieni, którzy cierpią...«



[redacted]

KRAKÓW
NAKŁADEM AUTORA
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1910

[redacted]

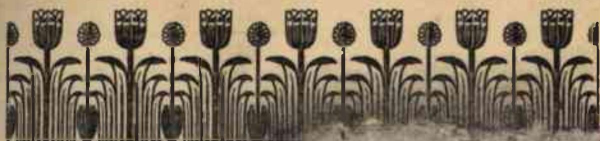
[redacted]

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

ONA

(PATRIA)





»Tylko na powierzchni [illegible]
płynęła jej szata biała, a na
niej kropla krwi, która zdawała się być kwiatem...«

Prati.

...Objęły ją i przytuliły fale.

Całą postać jej przykryły fal tych mętne piany — ogarnęły morskich głębin porosty — ukołysały jej szumy...

A fale te to się spiętrzą, to znów opadną — zakołyszą — rozejdą. Wiatr po liściach jej szaty przewionie, jej blade ciało odsłoni i znów przykryje.

Słońce już nurza swe zimne promienie w otchłani wód i świeci nad nią, jak gromnica. Widnokrąg się zaciemnia i blednie i tylko jeszcze od fal płyną blaski ku górze...

I na spiętrzonych płaszczyznach morskich odmętów zaledwie kilka drobnych światełek się przedziera przez nagromadzające się cienie — zwiastuny nocy.

I w tych nadchodzących mrokach postać jej zda się maleje i znika powoli... Tylko bałwan

spieniony wokół niej się rozleje z ponurym i groźnym pomrukiem, tylko jęk wichrów roznosi podzwonne tych wód otchłani i tylko odlatujące ptactwo krzykiem żałobnym ją żegna...

Wiatr się wzmaga i morze groźnie wyć poczyna — już kilka słonych jego łez na moją twarz upadło i fale stóp dosięgły. Noc — noc głębokich, wilgotnych, grobowych przepaści wodnych...

Ani cieni, ani blasków — ciemno dokoła — nie widać nawet Boga!...

*
*   *

Burza minęła i wicher ścichł szalony, tylko z głębin tego życiowego oceanu — z łona jego, słychać jakieś dziwne głosy...

Jakieś głosy, jakieś skargi płyną przez tych burz odmęty — płyną wokół — płyną w górę i ani ryk morskiej burzy, ani orkan wichrów nocnych tych głosów nie zdoła zagłuszyć — rozgłośne one, jak jęk przelanej ciepłej jeszcze krwi...

I z mroków nocy, też same zmącone fale i groźne prądy wód, przy blaskach świtu nowych dni i nowych krwawych burz, wyrzuciły umęczoną tę postać na brzegi...

Burza tylko nie oszczędziła jej — odarła z dawnych szat... Czy skały podwodne, czy sępy mórz, lub orły nocy rozszarpały jej pierś... Z miejsca, kędy płynie pokarm matki — płynęła krew...

Płynęła krew, mieszając się z falami słonych wód, dla przyszłych dni, choć nowe fale pię-

trzyły się znów nad nią — przestrzeń bezmierna fal...

Lecz coraz jaśniej stawało się dokoła — wschód się rumienił na niebie, bo zawsze krwią wschodzi na ziemi...

Minęła noc wiekowa i w pocałunku nowych zórz drgnęło do życia blade ciało...

Jutrzenki złotej blaski gorzały tam w oddali!...

1907. Zacisze.

TRZY SPOTKANIA
(OBRAZEK Z MINIONYCH DNI).



Był to majowy poranek!

Wszystko wokół drgało życiem — młodością: rozpękające drzew pąki otwierały swe tajemnicze łona ku światłościom, śpiew ptactwa rozbrzmiewał w otchłaniach błękitu, szmer łagodny płynącego strumienia budził i rozmarzał... Z oddali dopływały jakieś ciepłe podmuchy — niby głosy, jakieś wonie świeże i upajające, a pod stopami, z objęć ziemi, wychylały się uperlone rosą trawki młode...

Ponad tą ziemią w przezroczych przestworach migotały blaski gwiazdy porannej, przedzierające się przez rozdarte tumany i widniał krajobraz daleki, budzący w duszy jakby przedświt tęsknic odległych, a jeszcze nieznanych.

Było to w czasach owych, gdy myśli młode jako te złote promienie przeświecają życie nasze, poją je harmonią piękna, karmią je poezyą czynów. Było to dawno, bo przed kilkudziesięciu laty!

A jednak, choć odtąd tyle burz przeszło nad jego głową i tyle ubiegło lat w znoju i niewoli —

dziś, zda się, widzi on to wszystko, co już przeszło, czuje to wszystko, co już przeminęło i chłonie w siebie ten powiew wspomnień nieskończonych i na tle tego cudnego ranku, okrytego zielenią, rozjaśnionego blaskami, widzi to dziecko jeszcze, w różowej, krótkiej sukience, wpatrzone ruchliwemi, migocącemi oczami w przestwór, tchnieniem wiosennem zbudzony. Słyszy dziś jeszcze ten śmiech młody i pusty, kiedy patrząc jej w oczy, kreślił przed nią fantastyczne, złudne obrazy swoich młodzieńczych uniesień i porywów, kiedy jej tłumaczył życie, którego jeszcze sam nie znał, te uroki, które były im wspólne, te cuda, co się rozścielały przed nimi i w ich duszach.

Było to dziecko jeszcze i być może, że dusza jej nie zbudziła się, jak ta przyroda wokół, że serce dotąd spało. Ale w zawrotnych głębiach jej myśli skrzyły się już pojęć młodzieńczych kryształy, budziły się wiosenne błyskawice, oświetlające ciemne zda się dotąd łono jej ducha, a w piersiach, nabrzmiałych pełnią życia, wrzała walka i praca bezdennych badań i dociekań, nie wahając się temu uroczemu, uśmiechniętemu światu rzucić nieraz pytaniem: — dlaczego?...

On był młody, zapatrzony w to wcielenie wiosennych uroków, pełen zachwytów i uniesień wrzących. Dla niego ten zwykły świat istniał jakby odbiciem innych światów — był dla niego wymarzony, wyśniony, jakiś lepszy, piękniejszy,

niedościgły. On też szalał, lecz sercem gonił mary złote — tęczowe, ale mary...

Spotkali się z sobą po raz pierwszy o takim poranku.

Spotkali się — i Bóg tylko jeden wiedział, co przez ten czas powiedzieć mogli sobie — ile pytań błyskawicznych poleciało z jej strony, a ile gorących odpowiedzi od niego i ile nowych gwiazd się zatliło na firmamencie ich dusz młodzieńczych...

Po leciech kilku spotkali się po raz drugi, lecz już nie o wiośnie życia i nie na tle promiennej przyrody swojego kraju, ale na mogiłach... Bo i czasy już były inne i nie ten wonny, cudny poranek majowy, co już przeminął. Dni były smutne — pełne widm i mar — pełne zapachu krwi...

Był to straszny rok 1863-ci.

I snuły się po ziemi naszej wówczas ludzkie cienie, jak upiory i płynęły po niej ciężkie i duszące mgły i opary rdzawe szły ku górze. Zapalały się zorze i — gasły, ale nie gasły krwawe łuny i dym pogorzelisk zaścielał się nad mogiłami ziemi tej obrońców. Trwożną ciszę przerywał tylko krótki jęk męczonych ciał i dech przedśmiertny dusz...

W wirze ówczesnych smutnych dni posiedli jedną krótką tylko chwilę — by się spotkać i — pożegnać. Natenczas u tego białego na rozstaju

krzyża, u stóp którego siadywali niegdyś, snując wiosennych dni marzenia, poklękli oboje na modlitwę — na rozstanie, — a może i na wieczność całą...

A przed nimi się rozścielał kraj, utopiony w mgłach, otulony jak całunem śmierci, gdy ich głowy pochylone skłoniły się ku sobie, a zmartwiałe bolem usta całowały ziemi swej oblicze, na które zewsząd płynęły łzy...

Po kim, lub za czem płakała ziemia: czy za tymi, co szli na bój z pełną świadomością śmierci, czy za tymi, co zmuszeni byli w żalu i tęsknocie w domach swych pozostać? Czy za świetlaną zorzą nieprześnionych snów młodości, czy też może za tą dolą, jaka ich czekała jutro?...

Załamawszy dłonie dziewczyna modliła się gorąco, a młodzieniec patrzył jej w oczy, ponurym ogniem bolu płonące i wchłaniał w siebie ich blaski i łowił sercem jej słowa...

A potem ona brała od niego przysięgę na śmierć chwalebną na polu walki, a on do jej drobnych, drżących rąk przysięgę serca składał...

I sięgając do najgłębszych duszy jego tajników wydobywała ukryte tam wszystkie drzemiące siły jego, wiarę jego, moc jego i przekazywała mu swoją głęboką miłość kraju, jakby na własność.

I długo płynęła krew tam, gdzie on niósł w duszy swojej pochodnię obowiązku, zapaloną

przez tę drobną, ale duchem potężną postać kobiecą...

A potem? — potem, gdy słońce nadziei zgasło, a »dymem pożarów i kurzem krwi bratniej« zasłała się ziemia nasza, gdy kraj został pustynią, a jego szlachetni obrońcy, co nie wyginęli w walce i na szubienicy, na daleką północ wygnani zostali i on, wraz z innymi, tam podążył.

* * *

Z dalekiej i głuchej północy, z syberyjskich mroźnych tajg, słał on wzrok stęskniony ku pozostałej tam daleko Ojczyźnie i kochance. Z młodocianych rojeń i dumań, z promiennej toni wspomnień, te tylko dwie gwiazdy jaśniały mu na niebie północnej krainy; z mar złotych, nadziei i snów, zostało tylko życie samotne na pustkowiu. Czasem w pościgu burz i huraganów śnieżnych i te dwie bliźnie gdzieś ginęły gwiazdy i wyiskrzone całuny syberyjskich puchów zdawały się oczekiwać ofiar na swych błoniach białych, oświeconych przez zorze północne. Czasem, gdy odtajały śniegi i spłynęły lody, noc ciemna ogarniała znów niebiosa, potoki deszczu spływały na ziemię — a wtenczas już nie było nic słychać prócz cichego jęku liści drzew, zmiatanych burzą nocy i nic krom szumu wichru i nic, prócz szmeru spływających kropel...

I w duszy wygnańca nieraz taka sama to-

czyła się walka i do niej też wicher nawiewał wspomnienia dawne i budził jakiś ból tajony i zbierał na dnie pamiątki przeszłych lat — to krople łez...

I duszno mu było od nich. Taranem zda się bił o ściany ten wściekły żywioł ziemi i z trzaskiem walących się drzew dochodził do niego urwany, krótki, jakby przedśmiertny krzyk i czuł natenczas, jakby brodził w potokach krwi...

I tak w nieskończoność...

A ona w pracy i trudzie czekała, jak owa z dawnych lat kochanka, odnalezionego w szybie górnika, czekała i — doczekać nie mogła.

Wiek i troska serdeczna szronem jej ubieliły głowę, smutek i łzy zaorały jej oblicze, jej oczy, dawniej błyszczące i ruchliwe, mgłą się zasnuły, jej postać się pochyliła. Czas, ból, cierpienie, złamały jej siły...

I gdy tęsknota wyczekiwania wżerała się w jej duszę, a ból gryzł i szarpał jej piersi, gdy myśli jej w zawrotnym biegu kłębiły się w jej mózgu i gniotły tę hardą głowę, która pomimo gróźb wrogów opuścić nie chciała swojego cichego gniazda, gdzie tyle własnych grobów, ani tej ziemi ojczystej — ukochanej, gdzie tyle mogił — i gdzie z każdą wiosną, z pierwszym kluczem żórawi, czekała wieści od ukochanego — i dziś jeszcze w porywie uczuć wrzących, rzucała, jak za dni dawnych, temu mrocznemu już dzisiaj światu, tej nadchodzącej długiej nocy — pyta-

niem, na które i dziś nie miała odpowiedzi — dlaczego?...

Płynęły lata. On tęsknił do kraju, on rwał się do wzbronionego mu powrotu, by na swej ziemi położyć się do mogiły, na sen wieczny, by tam zapomnieć o męce życia swojego, o tej pustce w piersi jaką uczuwał, o tej głuchej rozpaczy za minionym, a zmarnowanym trudem. Jedyną tylko złotą nicią pamięci związany był z ukochaną i ta nić już rwała się, już nikła, już słabła i bladła. Dawniej słał ku niej swoich skrzydlatych myśli gońców, a dziś wieść każda od niej — ukojenia i pamięci, targała i rwała duszę jego na strzępy...

Lecz wszystko mija...

Tak, jak przed laty, wiosna była w całej swej krasie i wlewała w umęczone piersi kojące rodzinnych pól oddechy. I szły pogwary zewsząd: — szumiały drzewa, wyciągając swe gałęzie, jak ramiona na powitanie wędrowca — z dalekich, obcych stron; szemrały wód potoki w ciszy nadchodzącego wieczoru i tęskne nawoływanie ptasząt do rodzinnego gniazda...

I te drzewa, i te wody, i te ptaszki opowiadały mu dzieje tej ziemi, która dzisiaj była tak inna.

Gdzie były szumiące bory, pług wiejski rozorywał skiby, gdzie były wioski, rosną teraz lasy, na zielone łąki muł i piasek naniosły rzeki, gdzie

stały domy Boże, wznoszą się jakieś obce gmachy, świątynie obcej wiary — obcego ludu; nawet pastuszek polny nuci jakąś obcą piosenkę — nie naszą. A gdzież są ludzie tej ziemi?

Żyli tam kiedyś, pracowali, kochali, walczyli, płakali i modlili się Panu, co przyglądał się swojemu biednemu ludowi przez okno nieskończonego życia. Gdzie tego narodu tyluwiekowy dorobek, gdzie ich dzieła, pamiątki, świątynie? Gdzie uprawne pola, gdzie ich stada, łąki kwieciste, cieniste lasy, sioła kwitnące, miasta ludne — gdzie ten ruch pracy — gdzie życie milionów?...

Znużony wędrowiec daremnie się rozglądał dokoła — wszyscy i wszystko było już obce i on sam... tylko niebo, zda się, toż samo i te polne kwiaty i zapach tej ziemi ojczystej, ku której się przywarł zmęczony i zbolały.

*
* *

U schyłku dnia, tak jak u zachodu życia, wchodził on drżący i wzruszony na wzgórze, gdzie ten znajomy, a dziś już pochylony i stary krzyż Chrystusów, nad biednym, umęczonym krajem, wyciągał swe ramiona. Na widok tego przeszłości świadka, łza, dawny gość, spłynęła mu po twarzy, zoranej trudem i bólem życia... lecz party jakąś wewnętrzną siłą, posunął się dalej, ku temu staremu domowi, któremu tyle szczęśliwych chwil zawdzięczał. Zadźwięczał gdzieś

zegar godzinę wieczoru, rozwarły się drzwi, przestąpił on przez ten próg wspomnień dawnych, zabiegły mu drogę postacie mężów i niewiast bogobojnych, na ścianie zawieszonych... — zatrzymał się u progu...

Tam przed obrazem, jak zwykle o tej porze, klęczała pochylona... Wytężył wzrok, by objąć, wchłonąć w siebie przeczutą postać, zadrgały piersi żalem, skurcz zdusił głos, zaćmiły oczy łzy... pod ich urokiem podniosła swoją głowę pochyloną, z jej oczu strzelił blask, który spromienił wszystko wokół, który z martw zbudził wszystkie sny, i wszystkie bole, i wszystkie łzy...

U schyłku dnia, jak u zachodu życia, spotkali się z sobą poraz trzeci — i wyciągnięte ku sobie ręce w dół opadły.

Czar prysnął!...

Przeszłość już minęła i sny młodzieńcze wicher życia zwionął. Krew męczeńska dawno już wsiąkła w ziemię, ból już przycichł i groby zarosły murawą... bo młodość, to cudny lecz krótki tylko dźwięk, a życie ludzkie składa się z wyrazów wielu... Życie, to owa wiekuista zagadka, na której wyjaśnienie składają się tysiące lat — daremnie...

A właśnie on stał przed tą zagadką i jemu, przybyszowi z dalekich stron, zdawała się ona jakąś bezbrzeżną męczarnią, jakimś ciężkim snem, z którego zbudzić się o własnych siłach nie był

zdolny, bo jeszcze nie pierzchły mroki i mgły z jego duszy i była ona jak ta trawa stepowa, spalona pożarem.

Nie pojmował, że życie nie dla niego tylko potoczyło się błędnem kołem, że ich oboje z promiennych odarło szat, że na długie lata zaciemniło ich horyzont życia i osamotniło ich dusze; że nie on jeden zakosztował »świata zatrutych kołaczy«.

Nie pojmował, choć przechodząc przez kraj swój widział go w rumowiskach i gruzach, a na każdym kroku ślady stóp ciemięzców, które deptały przeszłość narodu i odzierały kraj; widział te pochylone barki ujarzmionych i smutek na twarzach, zrodzonych z krwi i łez... a jednocześnie czuł wokół siebie pustkę — i ducha upadek, słabość sił i woli, okutej w kajdany.

Pamiętał on do dziś tę chwilę, gdy u stóp krzyża żegnała go ona na bój z olbrzymem świata — na śmierć raczej, niżeli na życie takie w upodleniu i niewoli; ale śmierć, którą wyzywał w tej śmiertelnej walce, której szukał, na którą czekał — odwróciła się od niego. To też ominęła go dola tych szczęśliwych, tych wielkich i świętych, co odeszli tam, gdzie wiekuiste światło i pokój i życie wieczne — i on tylko jeden na ziemi tu pozostał, jak ten na jesieni ptak, zostawiony przez odlatujących...

Już dziś i sam nie wie czem jest i dla kogo on jest potrzebny.

Gdy w pierwszych spotkania chwilach wyciągnięte ręce w dół opadły — zrozumiał, że coś się za nim zawarło, że te młodości podwoje już mu się nie otworzą, że przeszłość już nigdy nie wróci — i uczuł wielkie swe osamotnienie i duszy swej sieroctwo. Lecz gdy ujrzał teraz jej twarz umęczoną takiemże życiem biednem i odczuł ból ukryty głęboko w tajnikach jej duszy i gdy policzył bruzdy wyryte przez łzy na jej twarzy, która dziś jednak promieniała uśmiechem rzewnego współczucia, przeświecającego przez łzy — odczuł, że to dotychczasowe widziadło szczęścia było chwilą tylko, że ten młodości kwiat kwitnie tylko raz jeden i to nie dla każdego i, że poza tem wszystkiem, jest świat inny — duchowy, który dusze osamotnione łączy i wiąże na życie całe, w imię obowiązków przyszłości... W spopielałej swej duszy, tam na krańcach dalekiej północy, odnalazł dziś coś, jakby cząstkę siebie, wyczuł jakieś ukojenie, jakieś ciepło, — które płynęło od niej jakimiś niewidzialnymi prądy — i zlodowaciała, w długim uścisku posępnej północy, dusza jego, rozwarła się szeroko, topniejąc pod promieniami serdecznego jej ciepła, które rozlewało się strumieniami po całym organiźmie jego, wsiąkało w duszy jego ugory, przygotowując tę rolę wyjałowioną pod siew nowych idei i nowych lecz już bezkrwawych walk. I dziś ona, jak przed laty, zapalała pochodnię

nowych obowiązków — i wskrzesić i zbudzić pragnęła to życie zgorzkniałe. A życie w kraju było również ciężkie i straszne, wobec wzmożonego ucisku, jaki kładła na barkach jego narodu ręka wrogów.

Taki to był wielki i cenny posiew duszy kobiecej!

I gdy on w końcu swych myśli — walk i zwątpień życiowych tajniki przed nią odsłonił i — jakby spowiedź życia swego uczynił, ona wzajem zaczęła swą opowieść.

I mówiła mu o dniach ciężkich narodu, o wszystkich krzywdach jego — o myśli zduszonej, o uczuciach starganych, o zdeptanej narodowej samowiedzy i sponiewieranej ludzkiej i narodowej godności; o tym całym szeregu nieskończonego ucisku i prześladowania, mękach i bolach i nędzach ludzi i kraju. Nie mówiła tylko nic o sobie: ile ciężkich i długich lat w tęsknocie za nim jej zbiegło, ile wylała łez, ile stargała sił — i ile razy w buntowniczym ducha swego porywie, ku tym przestrzeniom niezmierzonym, ku tym wysokościom podniebnym, ku tym siłom i potęgom, jakie panują we wszechświecie, czy poza światem, rzucała zwykłe swe pytanie: dlaczego?...

W prostocie swej, pełnej prawdy i szczerych porywów, sądziła, że na te pytania odpowiedź tych sił usłyszy; nie znając w życiu swojem fałszu i obłudy mniemała, że doczeka sprawiedli-

wości, jeżeli nie tu, na ziemi, to gdzieś tam, na gwiazdach światów planetarnych — dla tej sączącej się krzywdy i goryczy życia — przez życie pokoleń — przez życie ludów -- przez wiek cały...

* * *

Słońce już zapadało za lasy dalekie i cały zachód płonął ogniem purpury i barwił przestwór wokoło... Cała przyroda w ciszy poważnej i głębokiej do snu się kładła: milkło ptactwo w puchach rodzinnych gniazd swoich i trawy polne, znużone skwarem, piły wieczorną rosę, a kwiaty schylały senne główki i stulały swe kielichy, promieniąc wonne swe oddechy...

Zwolna zapadał cień... tak jak i nad całą ich przeszłością...

I w ten zapadający cień szli oni do stóp tego białego krzyża, świadka ich przeszłych dni, a postać jej dotąd zbolała i pochylona jakby spotężniała i urosła. Na jej twarzy, przez którą świeciły rosnących zórz promienie, leżała jakaś myśl potężna, jakaś duchowa siła, jakaś powaga i godność kobiety — twórczyni życia - ludzi — narodów...

Gęstniały cienie i na tle zapadającego mroku jeszcze wyraźniej odcinał się on, jakby wskazując drogę nowego życia — lecz zawsze przez ból, przez cierpienie, przez pracę — przez Boga — i do Boga!

A nad ich głowami — jedna po drugiej zapalały się gwiazdy, a poza niemi, z za drzew ogrodu, wznosiła się srebrna księżycowa poświata i cały krajobraz odział się w lekkie mgieł wieczoru szaty...

Tak jak przed laty, u stóp krzyża poklękli oni, by powiedzieć pierwsze słowo wzajemnej przysięgi; tak jak przed laty pochyliły się ich czoła ku sobie; tak jak przed laty upadły jasne łzy, lecz nie na oblicze ziemi, ale na ich dusze, obmywając je z goryczy życia...

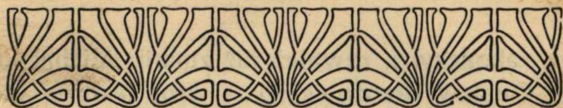
On klęczał u nóg jej, a ona z podniesioną ku tym gwiazdom, ku tym światom swą pogodną, cichą i promienną twarzą, modliła się za kraj swój, za naród, który żyć pragnął, za poległych w boju, za umęczonych w syberyjskich kopalniach, i więzieniach, i u stóp słupa śmierci, i na szubienicach, i — za niego...

I głos, nabrzmiały łzami, płynął po rozległych błoniach żałosną skargą: Z głębokości wołałem ku Tobie Panie, a Tyś po walkach i burzach żywota odprowadził go znów do rodzinnych progów, wrócił mi go i oddał, abym za niego wonne dymy mojego serca słała ku Tobie. Panie, Tyś mię wysłuchał, aby ta dusza odrodziła się do nowego życia, Tyś się zmiłował i sprawił, aby ona okupiła śmierć braci, ubóstwo kraju i upadek narodu, aby upomniała się o krzywdy i o rozrachunek dziejowy...

Oto ja służebnica Twoja modlitwą swą za nich wszystkich korzę się przed Tobą Panie... bo ja jestem tylko źdźbłem trawy polnej, którą żniwiarze podetną, aby była pokarmem i życiem innych...

1907. Wilno.

PIERWSZE CZATY
(WSPOMNIENIE Z ROKU 1863)



Śnieg padał...

I w poświacie tych białych płatków śnieżnych rozciągała się przedemną przestrzeń leśna, na brzegu której, w odstępach dalekich, staliśmy na czatach.

Pierwsze czaty w dniach wesela i szałów młodzieńczych — to pierwsze zrękowiny ze szczęściem, w dniach smutku i klęsk ogólnych — to pierwszy krok ku grobom...

I we mgle tej śnieżnej kryły się dalekie widoki, malały przestrzenie — dzień bowiem już zamierał.

Stanęliśmy na stanowiskach sami, wiedzieliśmy bowiem, że generał Ganecki kroczył za nami, a zarazem pragnęliśmy zachęcić przykładem swoim i nauczyć podkomendnych tej pierwszej służby, na którą się dobrowolnie poświęcili, służby ciężkiej i krwawej.

Było nas na początek pięciu: ja, brat mój starszy Józef, który następnie w bitwie pod Madejkami porąbany, skłuty i wzięty w niewolę, w męczarniach tu, w wileńskiem więzieniu życie

swe zakończył i, również już zmarli: Michał Rozen, Gustaw Brzozowski i — ktoś jeszcze, którego nazwiska nie pamiętam.

Było to w pierwszym oddziale, jaki w tych stronach podjęty przez nas został, a do organizacyi którego należeli jeszcze: oficer z Kaukazu — Staniszewski, Wiwulski i Dominik Malecki, któremu powierzono dowództwo. Obóz pierwotnie stanął pod Katynami, a później pod Knejbami w powiecie witkomierskim, niedaleko rzeki Świętej.

Zapadła już noc marcowa, wilgotna, wietrzna, śnieżna. W oddali od nas widniały dymy obozowiska, pomieszanego z padającym śniegiem; czasem iskra ze smolnego drzewa strzeliła w górę, czasem wiatr wionął i tlejące rozniósł ognisko, lecz coraz już większa zalegała ciemność i coraz to gęstszym całunem śnieg nas okrywał. Dawno już umilkł gwar głosów i pieśni pobożnych, śpiewanych co rano i wieczór w obozie — rzedły dymy — dogasały ogniska...

Łańcuch czat, rozstawiony na długiej, załamującej się linii lasu, już nie był widzialny i zaledwie z blizka dostrzedz się dawały białe, ośnieżone, ruszające się cienie.

Widok tych cieni budził jakieś zmącone myśli — jakieś refleksye przyczyn, które tu nas sprowadziły.

I stawały przed oczami duszy mojej te dalekie, bezkreśne ścieżyny i szlaki, po których iść nam będzie potrzeba. I pomimo tego, że przygo-

towywaliśmy się do krwawego boju jutra i szli z całą rezygnacyą ku przepaściom i otchłaniom tego jutra, byliśmy jak te niemowlęta, których dusze nie miały jeszcze wartości i zasługi, bo nie otrzymały jeszcze chrztu — krwi. Widzieliśmy przed sobą światłości, ale, czy wierzyliśmy w to wszyscy? Widzieliśmy synów tej ziemi, idących z modlitwą na ustach ku wschodowi życia swego, a już ze zwątpieniem w sercu; patrzyliśmy na bohaterstwo ofiar — z ludzi, z mienia, z jutra swego, oddających wszystko na ołtarz Ojczyzny, zaprzedających duszę własną, a jednak nieraz przeczuwających fatalizm klęski, która nas czekała...

Czy jeszcze krwi mało, lub może nie warta
Ta już zakrzepła krwi naszej posoka,
Że jeszcze dotąd mogiła otwarta,
Że jeszcze dotąd nie rzekł Pan z wysoka —
Już dość!...

A jednak pragnęliśmy tak niewiele!...

Pragnęliśmy tylko tego, co miały inne narody — wyzwolenia. Nie tego wyzwolenia i bytu, zakrzepłego w egoizmie klas i stanów, ale takiego, któremu na imię swoboda; a więc: rozwiązania z pęt poddaństwa ludu naszego, oświaty dla narodu, moralnego podniesienia poziomu jego życia, braterstwa dusz, jedności serc... ale, niestety! niczego dopełnić nam nie dozwolono i wszystkie plany i prace pokojowe nam pokrzyżowano. I gdy z dniem każdym potęgowały się blaski w duszy naszej, tem groźniejsze i ciemniejsze zbierały się

chmury burzy państwowej nad naszemi głowy. Więc gdy nie dozwolono nam zająć stanowiska życia — zebraliśmy się tu, o tej ponurej nocy, na stanowisko śmierci...

Minęła północ i nikt nas nie zluzował. Zmęczenie i dojmujący chłód przebierał skostniałe członki, śnieg, topniejąc, rozpływał się po naszej odzieży i naszem ciele. Czasem ten i ów, senny i znużony, potknął się na gromadzące się zaspy śnieżne, rzucił w nocnej ciszy hasło i znów się prostował — ale dotrwać na stanowisku było obowiązkiem. Nad ranem zaledwie przypomniano o nas.

Widok, jaki przedstawiał obóz, pobudził nas do smutnych rozmyślań.

Przed nami, w kotlinie leśnej, pod drzewami i w szałasach, naprędce skleconych, śniegiem okryci, leżeli powstańcy... Cisza głęboka unosiła się nad nimi, jakby anioł śmierci, który w kilka tygodni później stanął w naszych szeregach, chciał tu, z tej przyszłej hekatomby ciał wybór swój uczynić i znak swój na czoła śpiących położyć.

Śmiertelnie znużeni, legliśmy wraz z innymi na gołej ziemi. M. Rozen miał długi mantelzak, starczący dla nas za poduszkę — położyłem na nim głowę swoją i usnąłem.

I śniły się jakieś dziwne i nieznane kraje, jakieś stepy puste, jakieś drogi dalekie, jakieś pola rdzawe i szliśmy w długim, nieskończonym szeregu, a prowadził nas jakiś wielki i nieznany.

A potem majaczyły przed nami jakieś wydłużone cienie, które padały od zachodu, jakieś smugi pełzających, żrących dymów, jakieś tumany lecących liści z drzewa, zrywanych burzą nadchodzącej nocy, której głuchy jęk zdawał się wnikać do piersi moich, szarpał ją żalem, łkał w niej bólem...

A potem otoczyła mię jakaś martwa, głucha i bezbrzeżna cisza, co rdzą bezwładu i niewoli zatruwa krew — przejada ducha...

Z tych ciężkich widzeń i wrażeń sennych zbudził mię wystrzał.

Chciałem powstać, ale zmoczona odzież moja przymarzła nad ranem do ziemi. Sądząc jednak, że to wojsko Ganeckiego uderzyło na nasz obóz — porwaliśmy się do broni, ale to byli nasi.

I szedł przodem, witany okrzykami radości, cichy i skupiony w sobie wódz-męczennik, Zygmunt Sierakowski — na barkach swoich niósł on zmęczenie — a na twarzy smutek beznadziejny. Smutek ten był i w duszach naszych, bo wielu, nie chcąc się zaprzeć swych braci z za Bugu, szło na śmierć niechybną, parci heroizmem narodowego obowiązku. I gdyśmy z kolei z bratem moim zbliżyli się ku niemu, aby go powitać, długo on w niemym uścisku trzymał nasze dłonie...

Nie wszyscy byli takimi: Kołyszko patrzał wesoło i butnie, Laskowski, szef sztabu, szedł z podniesionem czołem i tylko twarz ks. Mackiewicza

gorzała ponurym ogniem — i ci i owi... byliśmy sobie znani i blizcy i swoi.

A w tym półtoratysiącznym tłumie, który przyszedł do nas, który się przedemną przewija, widziałem postacie, jakby z dawnych hufców pancernych, wspaniałe i groźne; a obok nich szare litewskie sukmany, obojętne na śmierć i niedolę, z błyszczącemi kosami w namulonych dłoniach, jakby się wybrały na polne żniwa i całe szeregi młodocianych, dziecięcych prawie twarzy i mężów okrytych szronem i siwizną...

I szły szeregi z pieśnią pobożną na ustach, płynęły chorągwie, oblane słonecznym promieniem poranku, a nad tem morzem głów szedł jakiś poszum — wichrów może z dalekich stron — wspomnień może o zmierzchu lat, a może westchnień zmarłych pokoleń tylu?...

I dziś łzy jeszcze wspomnień z oczu płyną — zdawało się w tej chwili, że cały świat już u nóg naszych leży!...

Z tych mrocznych smutnych czasów dużo już w pamięci mojej legło zapomnieniem; są jednak takie, które mi dzisiaj hejnał grają taką pobudką, jak za dni owych, kiedy budziły ciszę lasów i snem okryte wioski, trącając echem wspomnień i ludzkie dusze.

Taką pobudką była pieśń pochodu, kończąca się zwrotką:

»Letuva musu, tevinia szvinta«...
(O Litwo moja, Ojczyzno święta«)...

Ten tęskny i jakby zaświatowy śpiew, z którym naród nasz wówczas szedł do boju i — umierał, nie był pieśnią walki i zwycięstwa, jak owa przedwiekowa ojców naszych »Boga rodzica«. Dźwięczał w nim smutek bezbrzeżny, jakby przeczucie losów, rozpływał się on smugami łez, niesionych przez Anioły do stóp Przedwiecznego, za krew przelaną tu, na ziemi...

I dzisiaj jeszcze choć tyle przeszło lat, ścielą się przedemną dymy obozowiska na pierwszych czatach, dolatuje do mnie ich gryząca woń, w świetlistym poranku błyszczą ostrza kos, dobiega uszu moich jakiś szum, — mkną ludzkie cienie i śnią się te późniejsze mary i widziadła, co moją duszę bólem targają — ach! te zbroczone krwią, konające, męczeńskie braci moich twarze!...

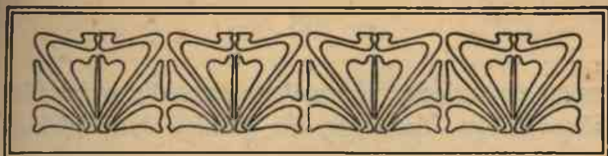
Dziś jeszcze!...

Wilno 1907.



BITWA POD MADEJKAMI

W ROKU 1863



Dnia 21-go kwietnia 1863 r. z folwarku Knejby, inaczej Teresboru, położonego w powiecie wiłkomierskim, niedaleko rz. Świętej, wyruszył obóz połączonych sił Zygmunta Sierakowskiego (Dołęgi) ku Birżom w powiecie poniewieskim; wojsko składało się z oddziałów: Kołyszki, ks. Mackiewicza i braci Dominika i Gaspra Maleckich, w liczbie około 2,000 piechoty i niewielkiego oddziału konnicy, pod wodzą Labanowskiego. Dwa małe oddziały: Kozakowskiego i młodszego brata szefa Laskowskiego, do ogólnej liczby wojsk wcielone zostały. Już zaraz w drodze Gasper Malecki, naznaczony naczelnikiem wojennym dwóch powiatów: jeziorowskiego i wiłkomierskiego, odłączył się dla obudzenia ruchu powstaniowego i jego zorganizowania w inne okolice kraju, pozostając już tem samem jakby w tylnej straży głównych wojsk. — Ks. Mackiewicz, w Świadościach, wysłany został ku Dyneburgowi dla zamanifestowania ruchu już tam obudzonego, a za-

razem zasłonięcia od prawego skrzydła wojsk Sierakowskiego, dążącego ku granicy kurlandzkiej.

Napróżno wespół z szefem sztabu Laskowskim, który był dojrzałym i rozważnym żołnierzem, przekładaliśmy wodzowi, że kierunek drogi był niedogodny dla przyczyn wielu, a głównie, że charakter Łotyszów, zwanych pogardliwie na Litwie »bombizami«, nie przedstawiał dostatecznej rękojmi, aby się zapuszczać w okolice przez nich zamieszkałe. Ale wódz wytłumaczył, że tam mu iść kazano, dla zmylenia pogoni, że niejaki Łapiński wiezie broń morzem, tak nam potrzebną i t. p. że pomimo, iż właściwie na Żmudź iść należało i oddać się pod dzielną opiekę tego ludu i tam główne obozowisko założyć, ulegliśmy tej konieczności przez Rząd Narodowy obmyślanej i przygotowanej.

Już samo naznaczenie naczelnym wodzem Litwy pułkownika sztabu generalnego, L. Sierakowskiego, było błędem, a wskazanie dróg, jakiemi iść miał, było błędem drugim. Sierakowski, człowiek wyjątkowych zdolności, był tylko teoretykiem i miejsce jego właściwe byłoby przy głównym sztabie wielkiej regularnej armii. — Przeciwnie, w ruchawce 63-roku, obok znajomości organizacyi wojskowej, potrzebny był człowiek wielkiej energii, żelaznej woli, silnego charakteru — słowem człowiek czynu. Niedość tego, potrzebny był taki, któryby znał kraj swój, choćby tylko przyszły teren swego działania, znał ludzi, cha-

rakter mieszkańców i wprzódy sam go przeszedł od końca do końca. W tym razie jednak świadomość ta była nie zupełna, oparta tylko na mapach topograficznych kraju, a więc i Sierakowski wymaganiom powyższym nie mógł odpowiedzieć. Był to człowiek szlachetny i prawy, wrażliwego i miękkiego charakteru — człowiek wielkiego serca. Nie znał tylko kraju, a brak ten u głównego wodza fatalnym nieraz bywa w skutkach swoich.

Wprawdzie był wyraźny rozkaz Rządu Narodowego, aby iść tą drogą — ku Kurlandyi, ale i członkowie rządu dokładnie może nie zdawali sobie sprawy ze swych rozporządzeń, że w partyzantce potrzeba nieraz zostawić oddziałom pewną samodzielność, pewną, że tak powiem indywidualność działania, gdyż tu niepodobna nic przewidzieć naprzód. Co innego w wojsku regularnem, gdzie już z góry może być określona taktyka wojenna, wskazane i drogi pochodu i miejsce nawet, gdzie bitwa ma być stoczona. Tu zaś, w powstaniu, szanse pomyślne, lub niepomyślne, zależne są często od trafu, od szczęścia, od przytomności wodza i t. p. Zresztą organizacya cywilna była u nas żadna, nie postarano się nawet o rzecz najważniejszą — o broń, której nie było wcale.

Ale rozwaga i polityka na dłuższą metę była słabą stroną naszą, a ufność i wiara zbyt wielką.

Zresztą kość była już rzuconą i droga ku oczekującemu przeznaczeniu stała otwartą.

Obóz więc powstańczy, choć znacznie zmniejszony, w powolnym pochodzie już był wysunął się z lasów i skierował się gościńcem ku Madejkom, przez miasteczka leżące po drodze: Komaje, Skopiszki, Ponedel i Popiele, w całej swej wspaniałości, z rozwiniętemi chorągwiami i śpiewem. Wspaniały to był pochód! Zewsząd gromadziły się tłumy mężczyzn, kobiet i dzieci, pragnących oglądać te hufce zbrojne, lub swoich pożegnać. W miasteczkach spotykali powstańców Żydzi z chlebem i solą — tak jak dziś — po latach wielu, spotykają u wrót siedzib swoich, w Chełmskiem, biskupów prawosławnych; wychodziło duchowieństwo, błogosławiąc na bój, na zwycięstwo; w wielu miejscach niewiasty wynosiły kobiałki z pożywieniem, a na polach przez które przechodzili, zatrzymywali oracze w miejscu sochy swe, przewracające skiby na przyszły plon.

W powietrzu dzwoniły skowronki, choć wiosna jeszcze nie zupełnie rozebrała się z powijaków zimowych i słoneczne promienie zmieniały się kolejno, to deszczem, lub śniegiem.

Lecz pomimo to od pól i lasów szły wiosenne podmuchy, płynęły wody, rozpękały pąki...

Gorąco, modlitewnie biły serca ludzi idących na bój. Ich wejrzenia obejmowały kraj serdecznym uściskiem — nie jedno ostatniem pożegnaniem

może. Pieśń pochodu śpiewana była po polsku i po litewsku i wszyscy zgodnie szli razem bronić wspólnych praw swoich, łącząc głosy do tego błagalnego hymnu, który szedł w niebiosy.

A jednak Bóg nie wysłuchał prośby naszej! W morzu łez i krwi kąpała się dusza narodu, tak, że czas byłoby już okupić przeszłe winy jego — czas zmiłować...

Ale miłosierdzie Boże nie przyszło było jeszcze...

A tymczasem hymn błagalny płynął szumem wiatru ponad krajem, — wdzierał się do ludzkich serc, skarżył niebu i słońcu, płakał w jasności południa i cieniach wieczoru i w ciemnościach długich nieprzespanych nocy i o świtaniu zorzy. — Bo życie narodu było ciągłą niedolą, ciągłą walką, ciągłem męczeństwem...

A hymn ten prowadził podoficer Józef Kulikowski, jeden z dwojga braci, którzy byli w obozie. Przepiękny jednak głos jego był jakiś smutny, tęskny, łzawy. Szedł on za mną — na czele szeregów. I dziś ta postać pokorna, cicha stoi przed memi oczami i dziś mnie nieraz budzi jego głos i z łoża, i ze snu się zrywam...

Z przeszłości mojej, niewiele słuchowych wrażeń pozostało w duszy, większość ich szła przez oczy i to, co te oczy dojrzały, zostawiały na życie całe; lecz jeden z tych niewielu głosów z przeszłości, co dziś jeszcze słyszę — to był ten śpiew.

Być może w warunkach innych nie posiadłby

on takiej doniosłości, nie obudził tej pamięci, nie przejął tak duszy mojej, ale w czasach onych i w chwilach tak wzniosłych i uroczystych, płynął on ku mnie jakby z za świata. Tkwił w nim cały ból tajony, przeczucie jakby jutra...

Pochód ten tryumfalny wojsk był jednak pochodem pogrzebowym, a mogiłą wykopaną losami dziejów były lasy Madejskie...

. . . .

Z wielką nieśmiałością i z całym pietyzmem dla tych wspomnień smutnych i krwawych przystępuję do skreślenia zarysów tej bitwy, od której zawisł los powstania na Litwie. W mroku dni, które od tego czasu przeminęły, wszystkie te obrazy i postacie, które znałem, zasnuwają się dziś już mgłą; dużo rysów już zblakło, już wyszło z ludzkiej pamięci; dużo imion w tej świętej ziemi naszej leży zapomnianych u świata i chyba tylko tam — poza grobem, odnajdą się one w gloryi ofiary krwawej. Szły one ku swobodzie, ku wyzwoleniu, ślepo wierzące i posłuszne swemu przeznaczeniu i — umierały; a jeżeli nieraz w życiu naszego narodu przeważył egoizm, wzięło górę warcholstwo, nurtowała niezgoda — to i gdzież jej niema?...

* *
*

Ile zostało wojska u Sierakowskiego, po odejściu Gaspra Maleckiego i wysłaniu ks. Mackie-

wicza, dokładnie określić trudno. Wojska połączonego w Knejbach, v. Knebiach, było ogólnie batalionów 9, wedle relacyi innych — 8 tylko. Również, jedni liczyli, że batalion zawierał 300 ludzi, drudzy, że miał tylko 200; w każdym razie o ile mię pamięć moja nie myli, jak wspomniałem wyżej — wojska naszego było wszystkiego około 2,000 ludzi.

Odliczywszy jeden batalion G. Maleckiego, który udziału w bitwie nie brał, i dwa bataliony ks. Mackiewicza, przyjąć możemy, że przy Sierakowskim, Dominiku Maleckim i Kołyszce zostało batalionów sześć, czyli mniej więcej do 1,300 ludzi. Kołyszko z 2-ma batalionami stanowił lewe skrzydło, właściwie straż przednią i zaraz, z miejsca, odłączył się i drogami innemi, przez m. Kupiszki podążył ku Birżom. Był to dzielny partyzant wykształcony w szkole wojennej zagranicą i oddany całą duszą sprawie narodowej. Ks. Mackiewicz, już w drodze jak wiemy, skierował się ku Dyneburgowi i stanowił skrzydło prawe. Był to kapłan fanatyk, co patrzało z jego twarzy ascetycznej i ponurej. Miał wielki mir u ludu, którego był bóstwem, i który z kościoła w Podbrzeziu, po mowie płomiennej, do boju wyprowadził. Długi czas lud go wspominał i w śmierć męczeńską nie wierzył, która spotkała go w Kownie. Sierakowski wkońcu, z resztą wojska, batalionów cztery, wliczając w to oddział Dominika Maleckiego, podążał ku Madejkom, gdzie mieli

zgromadzić się wszyscy. Charakteru łagodnego, ale pełnego taktu i rozwagi, był Dominik Malecki ulubieńcem wszystkich.

Zarzucają niektórzy pisarze Sierakowskiemu to osłabienie wojsk swoich, przez rozbicie się na 3 oddziały, zważywszy, iż wiedział, że Ganecki idzie za nim, o sile paru tysięcy regularnego żołnierza, że z drugiej strony nadciągał pułkownik Merlin z 5000 ludźmi, a już przedtem był poszedł w te strony ze swą artyleryą Byków. Ostatni ten szczegół objaśnia nas, o ile byliśmy nieopatrzni i łatwowierni, że władze wojenne rosyjskie wiedziały zawczasu o wszelkich naszych poruszeniach i zamiarach.

Zarzut powyższy jednak nie jest ścisłym, pamiętać bowiem należy, żeśmy nie prowadzili aktualnej wojny, jeno zbrojnem wystąpieniem zamanifestować pragnęliśmy swą przynależność wspólną z Koroną i zaprotestować przeciw niewoli swobodnego niegdyś narodu.

Wprawdzie byli u nas tacy, co nie chcieli solidaryzować się z rozruchami już rozpoczętemi w Królestwie, lecz tych było niewielu. Większość była za przystąpieniem do akcyi, chociaż rozumiała, że w warunkach ówczesnych przyjdzie chyba zginąć. Otóż ruch zbrojny na Litwie był aktem rozpaczy. Każdy z nas szedł na śmierć nieochybną — na zgubę, ale pozostawić braci z za Buga ich własnemu losowi i nie mógł i nie chciał.

Protest ten obu narodów, skądinąd przed-

wczesny i bez przygotowania, był wynikiem innych przyczyn i wypadków, w kraju i za granicą. Wobec gmatwającej się polityki margrabiego Wielopolskiego staliśmy w kraju na wulkanie i w tym stanie ciągłego wrzenia byliśmy bezwiednie pionkami na szachownicy politycznej mocarstw europejskich, tylko nie dla naszych potrzeb i celów, o, nie! bo tylko ich — własnych.

Otóż ta polityka kunktatorstwa Europy oddziałać musiała i na nasze czynności, skierowywane wedle tych rad i wskazówek.

Kazano nam podnieść się i podnieśliśmy się, kazano wywołać ruch zbrojny i ten ruch wywołany został, kazano nam wkońcu ogień insurekcyi podtrzymać do czasu, ogniska te w kraju rozpalać, siły rozdzielać, nieprzyjaciela niepokoić i nękać go moralnie, zanim interwencya Europy nie nastąpi, przeto i posunięcie się ks. Mackiewicza ku Dyneburgowi i wymarsz Kołyszki ku Birżom i pochód tryumfalny Sierakowskiego ku Madejkom — były dywersyą tylko.

Zarzut więc powyższy, uczyniony Sierakowskiemu, sam przez się upada. Jeżeli kto błąd popełnił, to chyba Ganecki, rozdzielając również siły własne, i kto wie jakby się zakończyło to powstanie, gdyby każdy spełnił swój obowiązek.

O organizacyi naszych wojsk oczywiście nie mamy potrzeby tu wspominać, a choć pod Knejbami wojsko stojące ćwiczyło się jak umiało

i mogło, czegóż przez ten czas tak krótki zdołało się nauczyć?

Chyba nic i niczego. Organizacya przeto zaledwie była w zawiązku i inaczej być nie mogło, subordynacyi żadnej. Nie było wprawdzie nieposłuszeństwa, a tem mniej dezercyi, ale zarazem brakło dyscypliny wojennej, którąby żelazną obręczą opasała te proste, jeszcze nie wyrobione, jeszcze nieprzygotowane, a nieraz i warcholące się żywioły.

Ale naród nasz — w te czasy, nie posiadł był jeszcze wewnętrznego poczucia swej siły, swej jedności i swych obowiązków. Zbyt długo nas rozdzielano i szczuto wzajem, aby nie tylko żywot polityczny, ale choćby życie społeczne wydało owoc dojrzały i zdrowy. W powstaniu jednak 63 r. widzieliśmy olbrzymi zapał u ludzi dworskich, u szlacheckiej młodzieży, nie licząc tu wychowańców szkół średnich i wyższych zakładów naukowych, ale ci wówczas jeszcze stanowili mniejszość — większość narodu była indyferentną, bierną... Nie uderzył jeszcze grom w ich dusze, zapalając je do ofiar, do czynu; nie rozgorzała pierś miłością ojczystej ziemi, której nie miała na własność jeszcze, a więc i bronić nie miała czego, bo tylko ci byli wierni sprawie aż do końca, którzy dojrzeli wprzódy. Lud wprawdzie brał udział w powstaniu 63 r. i dzielnie się sprawiał, ale tych było niewielu. A lud nasz wyko-

łysany od dziecka na łonie przyrody, zbratany z nią przez życie całe, był tu jedynym partyzantem z urodzenia, bo znał i lasów swoich głosy i ziemi swej ścieżyny... Ale lud nasz wtedy nie był dojrzał jeszcze, rewolucya zaś wszelka w takich warunkach, bez głównego czynnika w kraju — ludu, nie mogła mieć szans powodzenia.

W dniu 25 kwietnia walkę rozpoczął Kołyszko i napotkawszy Merlina, idącego z dwiema kompaniami piechoty i częścią jazdy, mocno go poturbował, tak, że Merlin zmuszony był cofnąć się, a przewidując zamiar jego połączenia się z Ganeckim, Kołyszko radził Sierakowskiemu, który już był nadciągnął, — wspólnemi siłami go napaść i pobić. Ale Sierakowski zwlekł napad ten do jutra. Być może miał on w tem swoje poważne przyczyny, ale jedna z nich, domyśleć się dająca — wymęczenie żołnierzy pochodem, przypuszczane być nie mogło, z powodu niezbyt wielkiej odległości Knejb od Madejek, wynoszącej mniej więcej mil 12, na których przebycie stracono dni cztery, do pięciu.

Jedna chwila, jak w życiu człowieka, tak i narodu, stanowi często o losie jego. Tak się i tu stało. Wojska nieprzyjacielskie nazajutrz połączyły się z sobą. Zamało było sił u Sierakowskiego, aby się spotkać z liczniejszym od siebie Ganeckim, a obawiając się prócz tego i artyleryi Bykowa, która nie brała jednak udziału w bitwie,

cofnął się ku Gudziszskiej leśniczówce, szukając ks. Mackiewicza, ale — ks. Mackiewicza nie było...

. . . .

Nastąpil ranek wilgotny i chłodny. Na chwilę tylko rozbłysło słońce i znów się skryło poza chmury, które ogarnęły niebiosa. Powiało zewsząd smutkiem. Wojsko skupione patrzało wokół chmurnie, jak niebo jego kraju, a w okrąg niego stały martwe, bezlistne jeszcze drzewa, nad przyszłą mogiłą.

Wojsko rozłożyło się w lasku brzozowym, opierając się o gąszcze dalsze. Pozycya nie była dobrze wybraną, a właśnie co nas gubiło nieraz, to brak znajomości własnego kraju. Wprawdzie i wojska rosyjskie nie znały go również, ale posiadały poważnego sprzymierzeńca w kurlandzkich baronach i w ludzie łotewskim, który te wojska prowadził.

Sierakowski tymczasem, nie podejrzywając niczego, przyjmował wyjaśnienia od przysłanych na wywiady przez generała Ganeckiego Łotyszów, którzy pod pozorem sprzedaży produktów zjawiali się do obozu — Ganècki bowiem, będąc uprzedzony o wielkiej liczbie wojsk tu zebranych, obawiał się o siebie i pragnął wprzódy zasięgnąć języka. Jeden właśnie z jego agentów trafił do samego Sierakowskiego, który mu dał 10 r. za przyniesione przezeń jaja, a gdy tem zgorszony obecny temu Dominik Malecki przekładał nie-

bezpieczeństwo takiego zaufania, wódz tylko pobłażliwie się uśmiechnął. I ten to właśnie łotysz wojsko rosyjskie na nas naprowadził.

. . . .

O świcie dnia zbudził się obóz powstańczy. W szałasie, naprędce skleconym, miało się odbyć nabożeństwo przed spodziewaną bitwą. Zapalono u ołtarza polowego światła gromniczne, w żałobnym ornacie stanął kapłan do mszy świętej.

Nastała cisza uroczysta, poklękali na ziemi i pochylili głowy i żołnierze i wodzowie i cichy poszedł szmer modlitwy do Boga ojców...

I zdało się, że to nie ludzie idący na bój śmiertelny, ale drobne, ubogie pisklęta wyrzucone z ojczystego gniazda, szczebiotały trwożnie i smutnie. Szept ten cichy niekiedy milkł zupełnie i znów się podnosił w górę głębszem westchnieniem, a w pochylone piersi uderzała pięść pokory i skruchy: Boże bądź miłościw duszy mojej — Boże bądź miłościw!...

Bitwa rozpoczęła się w piątek, 26-go kwietnia, o godzinie 11-stej rano.

Deszcz padał i głucho szumiały drzewa i słychać było z głębin lasu jakby żałosne ich łkanie... Rozstawiony łańcuch strzelców przyjął wystrzałami wojsko nieprzyjacielskie, które było wynurzyło się z lasów. Łańcuch ten wystawiony został na ogień największy piechoty rosyjskiej, która stanęła w dali i otoczyła wojska nasze gęsto

zwartem półkolem — chłodne — spokojne — niewolnicze... Nasi stali lub klęczeli poza pniami drzew. Po obu skrzydłach rozmieściły się oddziały. Ze spokojem na twarzy wydawał rozkazy, przyniesione mu poprzednio od Z. Sierakowskiego, Dominik Malecki, obok niego stał wierny jego towarzysz, Michał Staniszewski, też oficer wojsk rosyjskich, dalej gorączkowo się uwijał ze swymi ludźmi Bolesław Kołyszko, a poza nimi, lub na stronie batalionami, lub plutonami dowódcy: Antoniewicz, Żarski, dalej Józef Okulicz, Michał Rozen, Gustaw Brzozowski i wielu innych, których nazwiska wyszły mi z pamięci. A pomiędzy nimi zawsze wyprostowany i pełen żelaznej energii i woli — szef Laskowski. Stanowisko kosynierów było najgorsze — w oczekiwaniu bojowego hasła posiadali jedną, jedyną nadzieję — śmierci — bez walki, gdy tymczasem strzelcy mieli choć tę smutną pociechę, że umierali w boju — w walce. A choć piechota nasza, wysunięta na czoło obozu, posiadała tylko broń myśliwską, niedalekonośną, jednak w ten dzień dotrwała na stanowisku. Kule nieprzyjacielskie przenosiły szeregi nasze — idąc górą, nasi zaś strzelcy brali każdego na cel, upatrzonego, kogo dojrzeć na pewną odległość mogli.

Było wielu, którzy niegdyś w rekordzie myśliwskim szli przodem, bijąc kulą w lot jaskółki. Ci na ochotnika stawali w pierwszych szeregach i widziano jak co chwila spuszczali broń do nogi

i podnosili od nogi, do oka, a za każdym wystrzałem ciało nieprzyjacielskie staczało się na ziemię. Tem daje się wytłómaczyć ten długi opór naszych wojsk. Paweł Wiwulski z kosynierami stał na uboczu, a na ich czele wyróżniał się Stanisław Gutowski, olbrzym, z ogromną kosą w ręku, którą specyalnie dla niego przyrządzić kazał Sierakowski. — Olbrzym ten, urodzony z ojca mazura, b. porucznika wojsk polskich z 1831 roku, a matki Czeszki, był moim druchem i towarzyszem szkolnym. Przypomina mi on niejako Longinusa Podbipiętę Henryka Sienkiewicza. Żołnierz ten, co ludzi nosił na ręku, a palcem rubla nakrywał, był łagodny jak dziecko i dobry jak dziecko. Za nim już stały, lub leżały całe szeregi znajomych, sąsiadów i ludzi nieznanych, ale czujnych i na wszystko przygotowanych. Skrzydło to wyróżniało się właśnie doborem ludzi na śmierć obojętnych. Było ono naszem dziełem i zanim przybył D. Malecki dla objęcia komendy, pod Katynami, nad tem pierwszem naszem obozowiskiem, w północnej części powiatu wiłkomierskiego, już ono było przez nas zebrane z jednostek najtęższych i najbitniejszych. Rdzeń jego składali strzelcy, leśnicy, służba dworska, szlachta okoliczna i wyborowy siermiężny lud. Zebrali się oni w ten dzień tu wszyscy, jak dawniejsi sodalisi, jak rodzina, jak drużyna bojowa, [redacted]li z jednych [redacted] dobrze nie

pamiętam. Wiem tylko, że przed wyruszeniem z Knejb, w obozie D. Maleckiego było pięć plutonów, po 40-tu ludzi w każdym, coś z 60-ciu kosynierów i 10-ciu czy 15-tu konnych.

I otóż właśnie na to skrzydło najpierw uderzyły wojska rosyjskie. Zasyczały kule jak żmije i wnet cichy jęk przebiegł pierwsze szeregi. Narazie ogarnął niektórych jakiś lęk, jak nieokreślona trwoga, lecz żołnierz rychło ze świstem kul lecących się oswajał a chrzest krwi, jaki go spotykał, podniecał i upajał. I zdawało się mu nieraz, że »z archanioły swemi na czele«, ze złą ludzką mocą szedł on na bój, — na bój z groźnymi zastępy tych mnogich sił, z tłumami tymi, które zagradzały pochód dziejowy jego narodu...

W tem podnieceniu uczuć, w tem zaognieniu namiętności ludzkich, w tem rozgorączkowaniu krwi, zapominało się o wszystkiem i o siłach potrzebnych i o niebezpieczeństwie nierównej walki i — o grozie śmierci...

Zanim jednak rozgorzała krew, już zginął śmiercią walecznych Józef Kulikowski. Ci, co stali bliżej niego, opowiadali potem, że przed bitwą chciał jeszcze raz zanucić ulubioną pieśń pochodu: — »O Litwo moja Ojczyzno święta« i podnosił się już z klęczek, aby go słyszano, kiedy trafiła go pierwsza kula... Zadrgały smutkiem serca towarzyszy, ale już coraz gęściej rozlegały się [redacted]
nad głową [redacted]

na chwilę zapanowała cisza uroczysta — każdy polecał duszę Bogu... Trwało to chwilę tylko... I wstawał szum jakby morskich fal, uderzających o brzegi i szum ten wzmagał się, rozszezał, potężniał. Do huku wystrzałów dołączył się jakiś jęk z głębiny leśnej idący, jakieś nawoływania, jakaś zmięszana komenda... a chociaż miejsce było źle wybrane, rozstawienie wojsk do boju było bez zarzutu — i żołnierz na stanowiskach swoich stał nieporuszony. Lecz im dłużej przeciągała się walka, tem trudniej było żołnierza zatrzymać. Łańcuch strzelców nieraz się łamał i wyginał, a wojsko nieprzyjacielskie nieufne w początkach, następowało potem coraz silniej i uporczywiej.

I nagle leżący i stojący poza pniami drzew powstawali z miejsc swoich, jedni po drugich; zrywał się łańcuch strzelców i szedł naprzód pchany niewidzialną ręką, pędzony jakąś wewnętrzną siłą i wodzowie zarazem, na czele tych niesfornych, uniesionych zapachem przelanej krwi tłumów...

Jedna chwila zapomnienia, a wszyscy byliby zgubieni, Ganecki bowiem pragnąc skorzystać z powstałego zamieszania, rzucił kilka plutonów żołnierzy na obchód i odcięcie lewego skrzydła, ale dojrzał i zrozumiał ten manewr L. Sierakowski i rozdzielił siły swoje rzucając D. Maleckiego na lewe, a Kołyszkę na prawe skrzydło, zastępując niejako wojsku Ganeckiego

i odsłaniając mu tem samem środek swego obozowiska — jakby otwierając ramiona...

Wysłany podjazd Ganeckiego natychmiast się cofnął.

Strzały na chwilę zamilkły.

Tylko na chwilę... bo oto B. Kołyszko wznowił walkę u prawego skrzydła, śmiałym atakiem napierając zdumionego tą odwagą nieprzyjaciela. Był broniącym się dotąd, a teraz stawał się napadającym. Budził się młody lew, rozgorzała w nim krew dziadów, aż w tem i D. Malecki przemówił ołowiem. I znów upłynęła chwila, krótka, straszna, stanowcza. Ganecki, jak opowiadali, był tak tym zaczepnym atakiem zdumiony, że był powziął zamiar cofnięcia się, obawiając się większych sił, niźli na razie przypuszczał — ale Łotysz będący ciągle u jego boku, ten krok mu odradził.

Wojsko nieprzyjacielskie utworzyło trójkąt i rzuciło się na nasze oddziały — pragnąc obozowisko rozszczepić, ale już tu stanęły do roboty kosy, ta broń rozpaczy Polski już umierającej...

I jakby do żniwa na rodzinnych, litewskich łanach stanęły szeregi siermiężnego ludu. I kładły się też szeregiem na sen wieczny, zanim reszta, po trupach swych towarzyszy, wdarła się w szeregi wrogów...

A właśnie, gdy ten trójkąt uderzył na czoło naszych wojsk z bagnetami w ręku i potrzebny był odpór wojsku Ganeckiego, wysunął się na

czoło kosynierów olbrzym, z olbrzymią kosą w ręku. Był to Stanisław Gutowski. Czarne, maluczkie źrenice jego, świeciły jak oczy u wilka, a ostrze kosy, raz w raz, błyskało w powietrzu i zatapiało się w kłębiących się ciałach ludzkich. Szukał on zapewne, jak Longinus, trzech głów nieprzyjacielskich, aby módz je razem od tułowiów oddzielić.

Już na wszystkich punktach walczono, a tu i owdzie upadały ciała, prężyły się członki w skurczu śmiertelnym, wydzierał się z piersi jęk, połączony z rzężeniem konających, z pożegnaniem swoich, dalekich, z modlitwą cichą i ostatnią... Ale następowały nowe szeregi i nowe ofiary nadstawiały piersi swoje na bagnety nieprzyjacielskie... Zewsząd dolatywały okrzyki bojowe z hasłem: »Naprzód« i napełniały duszę grozą tej walki i kładły na ziemię ojczystą zbożne ludzkie snopy...

A tymczasem z niebios, z tych miłosiernych, zaświatowych przestrzeni, na biedne ludzkie ciała padał deszcz nieustanny, zimny, przenikający...

Około chatki leśnika, nad bagnistym ruczajem, zwarły się wojska w śmiertelnym uścisku. Wojska Ganeckiego strzelały z okien chaty, z poza płotów, z poza węgłów domu, gdy nasi zapragnęli zdobyć tę pozycyę. Więc szli jedni za drugimi, kto z bronią palną, kto z kosą w ręku, w bezładzie, w rozprzężeniu, zostawieni sami

sobie, ale nieugięci, ale bohaterscy, ale nieustraszeni...

Bitwa na rozmaitych punktach trwała bez przerwy — niezmordowanie nią kierował Sierakowski. Omdlewały ręce, wyczerpywały się siły, a bitwa była jeszcze nierozstrzygnięta. Lecz już u końca dnia, słabły siły nasze przed przeważającą w dwójnasób siłą wojsk Ganeckiego — zbrakło najdzielniejszych...

Kto nie żył w czasach owych i własnemi oczami na to nie patrzał, ten pojąć dziś nie zdoła tej walki z gołemi prawie rękoma prowadzonej. Ręka oderwana wprost od pługa, nie mogła się mierzyć z wyćwiczonemi siłami nieprzyjaciela, a jeżeli w wirze walki nieraz ją równała, to dłonią tą kierowała miłość tylko ojczystej ziemi.

Posiadaliśmy wprawdzie broń palną, zwykłą, myśliwską, jedno lub dwururkową, ale wystrzelony ładunek kul, przystosowanych do wylotu, czynił tę broń w walce dalszej niezdatną już do użycia. I nieraz w wirze gorącej walki, żołnierz zapominał o tem zupełnie, a sięgając poń, nieraz »ręka jego w ładownicy długo i szeroko szukała i — nie znalazła«.

Była to straszna chwila!...

I właśnie jeden z żołnierzy z oddziału Kołyszki, którego nazwiska już nie pomnę, z pozostałą w jego ręku strzelbą oglądnął się wokół, a napotkawszy przed sobą mierzącego doń żołnierza, zmiażdżył go w jednej chwili a porwaw-

szy broń jego i ładunki rzucił się do walki, tam, gdzie sił tych było mniej — tam, gdzie oczekiwano pomocy...

To mocowanie się i zmaganie się trwało mniej więcej do godziny 5-tej wieczór i wtedy ta kula przeznaczenia, ugodziła Z. Sierakowskiego. Zachwiał się i oparł o drzewo w pobliżu rosnące, lecz wnet podbiegł adjutant hr. Jarosław Kosakowski i ktoś jeszcze i posadzili go na ziemi.

Nastąpił zmrok.

W ogólnym zapędzie walki, wypadku tego na razie nie spostrzeżono. Sierakowskiego zastąpił szef sztabu Laskowski. Wódz okazał w tym razie dużo męstwa i cierpliwości przy opatrunku. Nie jęknął nawet, choć kula przeorała mu kość pacierzową i z całą przytomnością umysłu, zawezwawszy do siebie kuryera obozowego, Konstantego Szwejnowskiego, wysłał go na skrzydło, na którem pokładał największą nadzieję, aby się szczegółów dowiedział walki i o tym, lub owym — czy żyją jeszcze?

Wysłany kuryer wrócił cały drżący i poruszony.

— Już niema Antoniewicza, Żarskiego, upadł w walce J. Okulicz, polegli: Stomma, Geysztor... nie widać M. Staniszewskiego, wojsko się cofa, choć zagrzewają do bitwy: Laskowski, Malecki, Kołyszko — gorączkowo opowiadał kuryer wodzowi.

Sierakowski słuchał sprawozdania z głową

na piersi zwieszoną. Śmierć tylu dzielnych żołnierzy pogrążyła go w bolesną zadumę. Chuda, zczerniała twarz jego była pełna smutnego spokoju, a cała jego postać łagodna i cicha promieniała i wyolbrzymiała aureolą męczeństwa.

— Szukać mi ks. Mackiewicza — wyrzekł z cicha — natychmiast, co koń wyskoczy. Kuryer dosiadł konia i pomknął w las — znał wszystkie drogi. Padło kilka wystrzałów za nim. Jedna kula trafiła go w nogę, ale jej nie czuł w gorączce i pośpiechu.

Obóz ks. Mackiewicza, zatrzymany w drodze, już był w tej chwili nadszedł i stał w pobliżu pola walki, nie biorąc w niej udziału.

Kuryer, przypadłszy do ks. Mackiewicza, polecenie Sierakowskiego zakomunikował. W miejsce odpowiedzi ks. Mackiewicz machnął tylko ręką.

Było już za późno!...

Przyszłość może wyjaśnić zdoła tę chwilę, ociekającą krwią, w ponurych cieniach nocy, w zamieci burzy śnieżnej, która się rozpętała naraz — dlaczego tak się stało?...

A tymczasem coraz większy począł padać śnieg, głęboki, zmięszany z deszczem, przytłaczający ciała do ziemi.

Śnieg zasypywał mogiłę poległych zimnym, białym całunem, coraz grubszym, coraz grubszym...

Nastała ze strony nieprzyjaciół chwilowa cisza, żołnierz zdawał się cofać i był moment w tej

walce, że jeden silniejszy atak, a wojska rosyjskie zostałyby rozbite — zbrakło mu ładunków...

Nastała noc, śnieg padał bez przerwy. Strzały cichły zwolna — była godzina dziewiąta wieczór — noc rozdzieliła walczących.

Trudno dziś po leciech tylu odtworzyć tę bitwę, a każdy z tych, co pozostali przy życiu — a tych niewielu — inaczej o chwili rozpoczęcia walki, jak również i o samej walce, wspomina i opowiada. Z jednem tylko zgadzają się wszyscy — że nie było ani ładu, ani organizacyi — ani przygotowania i że tyle krwi przelanej poszło na marne...

. . . .

Na placu, gdzie wrzał bój najzaciętszy — u lewego skrzydła naszych wojsk, leżała kupa ciał i swoich i obcych, zastygłych już lub umierających. Kilkudziesięciu rannych cichym, gasnącym jękiem dawało słabe oznaki życia.

Rannych opatrywali d-rowie Trzaskowski i Kościałkowski, nie mogąc podołać pracy, umierających spowiadał ks. Peża, młody kapłan wikary z Rogowa, kapelan obozowy, który potem wyemigrował za granicę.

Szalejąca burza śnieżna utrudniała tę robotę ciężką i smutną. Burza wyła z wściekłością nad zwłokami poległych, zastępując im dźwięki pogrzebowych dzwonów i rozbijała się w lesie jękiem ponurym, zawodząc i wtórząc głosom umierających.

Jeden z ranionych leżał w kałuży krwi własnej i modlił się głosem, który coraz cichł i zamierał.

W cieniach nocy nie widać go było, tylko szedł z rozbitej piersi cichy jęk, jakby z podziemi, ku tym rozszalałym niebiosom płynący. Umierał on, jak innych obok wielu za wszystko co blizkie, co swoje, co drogie, bo — za Ojczyznę...

Za ten kraj umęczony, za tę ziemię, na której wzrośli i wychowali się, za te domy, za te drzewa, za zbożowe łany, za te łąki pachnące, za śpiew ptasząt po lasach zielonych i to słońce, co świeci nad głowami naszemi. Za te wiatry, które wieją, za tę radość życia i jego smutki, za wspomnienia dziecięce, za pamiątki rodzinne, za krew przelaną i łzy; za mogiłę matki, która krwią swego ciała karmiła pokolenie młode i za te ojców groby rozsiane po ziemi całej... Zapalone ognie gasły, bo wiatr je rozwiewał, a przesypywał śnieg i tylko na chwilę oświecały one skulone, zziębłe, lub rozciągnione ciało...

Przy pniu zwalonego drzewa leżą dwa trupy, złączone z sobą w śmiertelnym uścisku — wrogowie za życia, a dziś tak blizcy sobie, tak serdecznie siebie obejmujący. Z wściekłością wgryzali się zębami w ciała wzajem, dławiąc się krwią.

— Kto tę przepaść plemienną między nimi wykopał, że zaledwie w chwili śmierci padali sobie w objęcia?...

— Kto im dał tę broń do ręki, aby wiekami z sobą walczono?...

— Kto wrzucił tak głęboką nienawiść w ich duszę, aby nią poiły się pokolenia?

Ojczysta ziemia zda się drży z bólu, uczuwszy wlewające się do wnętrza jej potoki krwi jej synów; miotają się zwichrzone burzą śnieżną wierzchołki drzew, z głuchym, ponurym szmerem zmięszane z sobą płyną głosy...

Tu znowu ranny jęczy i woła o ratunek: »choć kroplę wody mi dajcie, choć jedną kroplę«.

Położono mu na usta garść okrwawionego śniegu.

Z tą garścią krwi raniony zcichł i skonał.

A śnieg padał bez końca...

I coraz ciszej było pod tym całunem i milkły jęki z olbrzymiej góry zmięszanych ludzkich ciał i cichły ostatnie ich westchnienia i wiało od nich pustką, śmiercią i zniszczeniem...

Dzień następny zastał w bieli leżących śniegów. Zziębnięte i głodne wojsko, które szef sztabu ze swym adjutantem, Kupściem, przez całą zbierał noc, rozpaliło ognie, aby się ogrzać i posilić. Niezdatne już było do boju, wyczerpnięta już była duchowa siła jego... Wojsko nawet nie rozstawiło czat na nowem stanowisku w lesie jodłowym, do którego kuryer doprowadził. W powszechnym popłochu nie wiedziano nawet gdzie był nieprzyjaciel, a więc przed oddaleniem się Sierakowskiego, którego w początku nieśli

na noszach, do dworu w Skrobiszkach, skąd zabrany został powóz, raz jeszcze wysłany był podjazd z 15-tu ludzi złożony, pod wodzą Wiwulskiego. Długo czekano na powrót jego, lecz żaden z posłanych już nie wrócił...

Natenczas Sierakowski, choć już ostatecznie osłabły, raz jeszcze, na własnym koniu, posłał kuryera Szwejnowskiego na rekonesans, lecz skoro ten odjechał poza obręb obozowiska, został napadnięty przez straż przednią rosyjską, zbudzeni wystrzałami śpiący, znużeni powstańcy, odbiegli snu i przygotowanego pożywienia — idąc w rozsypkę...

Rozbite obozowisko otwierało swe wnętrze, ociekające krwią z porozrzucaną bronią, walały się po ziemi poszarpane chorągwie, które zbierał nieprzyjaciel, splamione krwią obrońców...

Ciężko i smutno pisać dalej...

A nad tym obrazem w dniu tym (27 kwietnia) pogodnie świeciło słońce, jakby nie widziało tych krwawych ran ziemi na zdeptanym śniegu i tych bladych, zimnych, niepogrzebanych ciał jej synów i tej rozpaczy na twarzach tych, którzy pozostali przy życiu. Świeciło ono rumieniło młode pąki drzew, zieleniło trawy, srebrzyło wody — jak zawsze — jak wprzódy...

Sierakowskiego odwieziono do dworu w Skrobiszkach, skąd wraz z Kołyszką, Staniszewskim, Kossakowskim, Wiwulskim, J. Okuliczem i innymi jeszcze osób 12-tu wziętych do niewoli,

przez Dyneburg wysłano do Wilna — do więzienia Ś-go Jakóba.

Z rozbitego obozu, w głuszy leśnej, przed rozejściem się D. Maleckiego i ks. Mackiewicza do Puszczy Zielonej, zgromadziło się 40-tu straceńców, pragnących odbić więźniów, zostających pod strażą pułkownika Merlina, ale już zdążyć nie mogli. Przyszedł z wojskiem jenerał Ganecki i — wszystko się skończyło...

. . . .

Z liczby osób wyżej wymienionych: K. Szwejnowski, z połamanemi kośćmi, do dziś jeszcze żyje. Wysłany do katorgi, wrócony do kraju został, gdy komisyi w Petersburgu długie swoje męki opowiedział i rany im swoje pokazał.

Szefem żandarmów pod tę porę był hr. Szuwałow, w komisyi śledczej zasiadał I. G. W. Potapów. Gdy badany więzień nic nie zeznał i nikogo nie wydał, z gniewem ozwał się doń Szuwałow, wskazując na siebie: »miałbyś tyle krzyżów ile ja ich mam, a tak będziesz polskim panom pasał tylko świnie«. Olbrzym Gutowski i dr. Trzaskowski poszli wraz z innymi na Sybir; J. Okulicz i P. Wiwulski wzięci ranni z pola bitwy umarli w więzieniu, pierwszy 20 maja 1863, drugi w 1864 r.; a na placu Łukiszskim, w Wilnie, 1863 r. straceni zostali: B. Kołyszko 10-go czerwca i Z. Sierakowski 15-go czerwca; 20-go lipca t. r. M. Staniszewski.

D. Malecki, wzięty z bronią w ręku, 6-go grudnia został powieszony w Wiłkomierzu. Inni rozpierzchli się po świecie...

Wieczny pokój, wieczne odpocznienie racz im dać Panie!

. . . .

I tak upadał w gruzy olbrzymi gmach ofiar i poświęcenia, którego twórcy zapomnieli opatrzyć i umocnić. Krew przelana dawno już wsiąkła w ziemię, a bitwa pod Madejkami, jak mówi Przyborowski, była śpiewem łabędzim powstania na Litwie.

Dziś więc wobec nowych prądów narodowego życia, dawne nadzieje nasze na pomoc cudzą na zawsze zaniechane być powinny i naprzód iść nam potrzeba o siłach własnych tylko. Tak, o siłach tylko własnych, dążąc do swobody i wyzwolenia narodu odrodzeniem własnem: wzmocnieniem charakterów, podniesieniem umysłowego i moralnego rozwoju jego — drogą bezkrwawych ofiar i poświęceń wszystkich myśli swoich, sił swoich i czynów dla dobra i szczęścia Ojczyzny. Dotychczasowe więc szlaki, jakimi szła krzywdzona i umęczona dusza narodu, zastąpione być powinny przez inne środki i drogi, byle tylko to jutro nasze nie zostało zdobyte drogą narodowego upodlenia, a na grobach tylu pokoleń, które tam się pokładły w krwi swej

purpurze — niech wyrośnie w przyszłości kwiat pokoju...

. . . .

Minęło lat wiele. Dawne pobojowisko pod Madejkami zmieniono na pola orne, wycięto lasy, stanęły sioła, pług tylko niekiedy wyoruje kości, które zbiera ze czcią młode pachole. Skąd ono wie o tych, co tu legli przed laty? Może kiedy wieczór z rozmowy przy łuczywie dziadek o tych bojach opowiadał; może z wiatrem od tych mogił doszły doń pogwary; może on się karmił chlebem, co wzrósł na tej ziemi?...

. . . .

Był już wieczór — cichy, pogodny wieczór letni. Złociło się i zapadało słońce gdzieś w przestworza dalekie, cichła zwolna okolica cała, zasnuwały się już cienie nocy i z tych grobów rozoranych szły wspomnienia tej ziemi smutne i łzawe, jak westchnienie poległych.

I słychać było zda się odgłosy walki tu stoczonej — dalekiej i szły one po kraju, po rosie, o wieczornej zorzy. I z tego łona ziemi, w którem spoczęły ciała bohaterów, dochodziła do mnie jakby prośba o pamięć tych grobów, jakby błaganie ciche o modlitwę...

Słońce już skryło się za lasy dalekie, z pól i łąk wstawały wieczorne mgły i okrywały te groby swą szatą — codzień i w wieczór i zrana.

I wstawały przedemną widma czasów ubiegłych, opowiadając dzieje tej ziemi, codzień umierającej i codzień oczekującej zmartwychwstania, i wstała cisza smętna i głęboka wokół grobów i w sercu i w duszy...

Uklękłem na mogile!...

Wilno, 1908 r.

ŚMIERĆ SPRAWIEDLIWEGO

WSPOMNIENIE



Ranek 20 maja 1863 roku.

Ranek wiosenny, pachnący, świeży. Wokół zieleń i kwiaty. Kwitną bzy. Zdala do tego ustronia dochodzi odgłos daleki wielkiego miasta — jakby szum wezbranych wód, które tu u stóp smutnego płyną domu. Te wody blizkie, ten ich cichy plusk o wiosennym poranku, taki swojski — znany — to Wilii wody, płynące tam — w dal — ku morzu.

Słychać zewsząd śpiew ptactwa roztęskniony i miłosny w przebudzeniu przyrody i dochodzi szczebiot ich radosny. Do ich gniazd, uczepionych na gałęziach drzew, okalających kościół Ś-go Jakóba, zagląda słoneczny promień i otula nowonarodzone pisklęta łagodny wiew wiosenny.

W oddaleniu pewnem, okolony placem długim i szerokim, zwanym placem Łukiskim — miejscem tracenia ofiar 1863 r., przez który tyle przepłynęło westchnień i jęków i łez i krwi — stoi dom Boży, a obok niego mury klasztoru, zamienionego dziś na więzienie. Pełno w nim ludzi młodych, wybladłych, pokaleczonych. Przy-

wieziono ich przed kilku tygodniami z odległych pól — z pól krwią zbryzganych — tam, hen, na krańcach Litwy...

I ciągle idą te wozy z różnych stron do pięciu więzień wileńskich, przemienionych z dawnych murów klasztornych, a więc po-Misyonarskich, po-Franciszkańskich, po-Dominikańskich na Śnipiszkach i w murach kościoła Ś-go Jakóba.

. . . .

Oto obłoki kurzu podnoszą się ku jasnemu niebu — to oddział wojsk znów eskortuje kibitki nowych więźniów, przywiezionych z nowego pola bitwy — a może połapanych gdzieś po drodze — na rozstajach.

Kibitki u wrót więzienia stanęły. Z poza krat jego ukazują się głowy, wypatrujące blizkich — swoich, a od dołu ku górze wznoszą się źrenice nowych niedoli towarzyszów — wnoszonych, lub wprowadzanych postaci, na pół żywych, na poły umarłych — bogaty materyał do badań więziennych.

A nad tym smutnym domem, jakby na urągowisko cierpienia, rozlegały się błękitne niebios sklepienia — jasne i czyste, jak dusze tych, co stali tam u progu śmierci.

A wokół niego, jak dymy kościelnych kadzideł, rozpływała się woń rozkwitłego bzu.

I drobne pyłki kurzawy podniesionej kopytami końskiemi przeświecały złotem promieni,

które z tych nieobjętych przestrzeni lały się potokami na ziemię.

I wszystko to zlewało się w przecudną pieśń stworzenia — nad grobami życia...

*
* *

W jednej z sal więziennych — na łożu spoczywał młodzieniec (Józef Okulicz, urodzony w r. 1835). Blada i cicha była twarz jego, jasne, lnianego koloru włosy, zlepione krwią, spadały mu na czoło, zmącone cierpieniem błękitne oczy patrzały przed siebie — gdzieś — daleko...

Wokół niego leżało jeszcze kilku umierających — samotnych — zapomnianych. Nikt nie stał u ich smutnego wezgłowia, bo nikt o nich z rodziny nie wiedział, gdzie są, a przestąpić próg ten nie było wolno nikomu.

Po tych ciałach, rozciągniętych na łożu boleści, lub w skurczu przedśmiertnym, wiał już skrzydłami swojemi cichy anioł śmierci i otulał te dusze zbolałe przed drogą wieczności, a ten wietrzyk łagodny i pachnący, który się tu przez okna rozwarte przedzierał, przychodził może od tych tam dalekich, krwią przesiąkłych pól i przynosił wieści z tych wielkich rozwartych mogił, że na tem rozległem cmentarzysku rodzinnego kraju znikły i »zgasły wszystkie naszych nadziei promienie« i tam, jak na morzu ludzkiego życia, mętne fale roznosiły tylko odgłosy wewnętrznych jego burz, mocowań, walk, a nad niem — u góry

zwisało niebo szare, chmurne, smutne, jak dola tych ludzi...

Wtem jękły dzwony na modlitwę i głos ich zabrzmiał jakąś swojską nutą — jakiemś wspomnieniem — jakąś słodką tęsknotą, bo głosy naszych dzwonów, to cały żywot nasz. Gra w nich i dźwięk modlitewny i hymn zwycięstwa i wesela i pieśń smutku i żałoby.

Młodzieniec o jasnych jak len włosach i smutnych, błękitnych oczach drgnął jakby zbudzony.

Być może chciał powstać do ostatniej modlitwy, której się nauczył, będąc dzieckiem u kolan matki, która tam — gdzieś w głuchej wsi, wyczekuje wieści od niego — ale, już nie mógł, sił mu zbrakło — tych młodych sił, które spłynęły tam, wraz z krwią obowiązku — w bitwie pod Madejkami.

A dzwony brzmiały wciąż i dźwięki ich wtórzyły ostatnim tchnieniom umierającego.

I stanął przed nim w przedśmiertnej wizyi ten cichy, biały dworek, utopiony w bzach, których zapach do niego zdawał się dochodzić.

A w nim dwoje starych, już sięgających grobu — jego rodziców — i obu braci jego...

A tam jeszcze w oddali i ta słodka postać ukochanej.

Z tego białego dworu poszedł on na naukę — na pracę. I otoczyło go tam, w Horkach, w tej małej mieścinie na Białejrusi, grono młodych ko-

legów, któremu przewodził, a gdy później w północnej stolicy kończyli swe studya, kierował nimi i prowadził ku tym przyszłym obowiązkom. Nie pragnął on rozgłosu, nie szukał sławy, ni uznania — szedł przez świat cichą drogą czynu, był opiekunem, pomocą, pamięcią, miłosierdziem i przykładem cnoty i czystości młodzieńczej. W gorącem, jakby modlitewnem skupieniu, szedł ku przeznaczeniu, które go czekało i padł na stanowisku.

Miał na sobie ran 14 i pomimo tylu ran, wieziono go z pola bitwy — na kurlandzkiej granicy — do Wilna. I pomimo ran tylu był badany i pomimo straszliwych cierpień — wytrwał.

Gdy upadł tam, na polu bitwy pod Madejkami i dobijać go chciano, na okrzyk zgrozy towarzyszy, wstrzymali się żołnierze i to go ocaliło — do czasu. Mylnie przeto w opisie bitwy tej podano, że zginął w potyczce. Wojskowe zaś władze, sądząc z tego o wielkiem znaczeniu jego w obozie — mniemały, że oprócz Z. Sierakowskiego, Kołyszki i innych znaczniejszych więźniów, dostał się w ich ręce ktoś jeszcze ze stojących u władzy, rozkazały więc wieźć go do Wilna.

Gdy go przywieziono i badano — nie odpowiadał, tylko swojemi błękitnemi smutnemi oczami patrzał na sędziów swoich — że, jak opowiadali potem, brał ich jakiś wewnętrzny lęk i trwoga... Tak, zaprawdę, bo w ich dusze patrzały oczy

wolnego i sprawiedliwego człowieka i wzroku tego znieść nie zdołali — nie mogli.

. . . .

Jeszcze raz — jeszcze jeden raz dźwięki rozkołysanych dzwonów uderzyły w przestrzeń słoneczną i poszły w dal...

A w ślad za temi falami dźwięków leciała myśl umierającego ku tym minionym i przebrzmiałym snom życia; po raz ostatni jego oczy zawisły na błękicie przezierającego wązką szczeliną nieba, po raz ostatni pragnął on zda się wsłuchać i jakby zatrzymać te z oddali dopływające ku niemu głosy życia...

Wezwano kapłana.

Przyszedł staruszek, jak gołąb biały, o pogodnem obliczu, przyprowadzony przez żołnierzy, którzy stanęli u progu. Sądzili może, że dusza umierającego też strzeżoną być powinna — by nie uszła.

— Z czego, z jakich grzechów miał się spowiadać ten cichy i sprawiedliwy?...

— Jakie obciążenie życia na duszę jego legło?...

— Jakie błędy mogły ją pokalać?...

Chory naraz odzyskał siły i mówić począł. W gorączce, która wybiła mu na twarz i na poły z łoża podniosła, wybiegały mu z ust drżące, urywane słowa żalu, za porwaną w zaraniu przędzę myśli, za zdeptane narodowe uczucia, które się wydzierały ku słońcu życia i tych podniosłych jego celów swobody i wyzwolenia...

A potem się modlił — modlił się coraz rzewniej — coraz ciszej i żegnał całą przeszłość ciężką i bolącą, która widziadłowo przepływała mu przed oczami, ze spokojem śmierci, która już u jego męczeńskiego czekała łoża. W przedśmiertnej agonii do kogoś się zwracał, kogoś błogosławił i komuś przebaczał, a głos jego słabł i cichł, jak te przebrzmiałe dźwięki dzwonów i z ostatniem słowem: O matko! — skonał...

I potem — raz jeszcze zadzwoniono — już po nim...

*
* *

O wieczornej już zorzy — bez kapłana, bez modlitwy, powoli toczył się ubogi wóz śmierci ku mogiłom. Za wozem szli żołnierze i — w dali za nimi kilka pochylonych postaci kobiecych. Wóz, a na nim biała, prosta trumna wrzynała się jakąś świetlaną smugą w otaczający mrok, znaczyła przejścia swego ślad, jakby wskazywała drogę dla wszystkich — i uciemiężonych i ciemięzców — do tych ostatnich wrót przyszłego życia, co się zwie nieskończonością; a dla tych dusz, poza wieczności progiem, jest albo nieśmiertelną pamięcią, albo przekleństwem wiecznem...

Za miastem, w polu, leżała uboga, opuszczona, sierocą zwana mogiła, którą w dali opłukiwały wody Wilii — tam wóz się skierował i stanął. — Czekał już tu dół głęboki — ostatnie posłanie

człowieka. Wrzucono weń trumnę ze zwłokami męczennika i cichy szelest grudeł ziemi, ręką grabarza na trumnę rzuconych — cichem też echem rozszedł się dokoła. Jedna z kobiet zapaliła gromnicę, jaką zwykle później zapalano po domach przy traceniu na placu Łukiskim, lecz żołnierz brutalnie wytrącił ją z ręki — nie wolno było w owe czasy przyświecać odchodzącej duszy, ani zapalać światła nad grobem.

Zasypano dół i zrównano mogiłę...

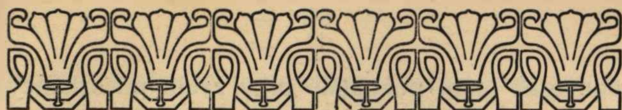
A nad nią — od rzeki, podniosły się białe, mleczne mgły, jakby tchnienie ziemi, gdy jednego z życiowych wędrowców przyjmie do swojego łona. Mgły te popłynęły w górę i poszły w dal z wieścią o poległym synu, o zginionym bracie i towarzyszu i o straconej jednostce dla sprawy narodowej. Mgły te, spadając na drzewa, na zioła, na kwiaty, wsiąkały też i w dusze ludzkie — na posiew przyszłości...

Bo życie ludzkie karmi się śmiercią i krwią i śmiercią żyje...

Wilno, 1908.

MIĘDZY SCYLLĄ, A CHARYBDĄ

OPOWIADANIE Z R. 1863



Słońce już zaszło. Nadchodził smętny wieczór. Zapadał zmrok. Zwisały nad całą okolicą szare i brudne obłoki, nabrzmiałe tęsknotą długich, nieskończonych nocy, wlokąc za sobą znużenie i smutek, gromadząc zwątpień cienie...

Straszny ciężar tłoczy piersi; blaski zórz powoli gasną — i płacze serce po straconej nadziei, która była naszą podporą i mocą — i dusza rwie się na strzępy...

Ponad agonią dnia dzisiejszego, nad śmiercią jutra, czuwa już tylko jedyna idea — obowiązku...

W czasach tych o jakich tu opowiadam — po pogromie Madejskim, już znacznie była osłabła energia w narodzie i ofiarność jego zmniejszyła się.

Pogrom ten osierocił wiele rodzin, które pozostały jako pnie nagie bez swych gałęzi; zubożył wielu, ochłodził gorączkę początkowych porywów, a co najsmutniejsze — nie jednego pohańbił. A jednak rozbicie głównych sił nie oddziałało zniechęcająco. Tu i ówdzie tlało jeszcze powstanie na Litwie, gromadziły się oddziały po lasach i szły często na bój krwawy, nierówny, beznadziejny — byle przetrwać do czasu. Do-

pomagali temu pozostali przy życiu mieszkańcy kraju, oczywiście już nie z tak pełną wiarą i ufnością, jak w początku, ale z przeświadczeniem głębokiem o obowiązku wytrwania w złej, czy w dobrej doli: »usque ad finem...«

Tylko, że już ostrożniej ze wszystkiem poczynać było potrzeba. Ruch zbrojny w początkach powstania nie był tamowany przez nikogo: szły partye, tworzyły się po lasach obozy bez przeszkody żadnej. — Nie to już było później: — napłynęły obce wojska do kraju i wszystkie miasteczka i większe wsie były niem przepełnione. Niedość tego, rozkazano ludowi postawić wszędzie straż, dla śledzenia ruchów powstańczych, lub łapania jednostek niepewnych i podejrzanych. Lud niechętnie to czynił, ale pod nakazem — w postaci »nahajki«, do tego był zmuszony.

Oczywiście, że w owe czasy, pomiędzy wieloma, którzy sprzyjali ruchowi powstaniowemu i brali w nim udział, znajdowali się i tacy, co byli niechętni rewolucyi w kraju, która w ich rozumieniu wywołaną została ruchem wolnościowym i uwłaszczeniowym rządu, który miał dać im wszystko; byli między nimi i wysłużeni żołnierze, ze szkoły Mikołajewskiej, którym 25-cio letnia służba wojskową ówczesna, zacierała wszelką indywidualność własną: ich pochodzenie, ich narodowość, ich religię, czyniąc te nieliczne zresztą jednostki, już zupełnie narodowi obce, ślepem narzędziem rządu. Potrzeba było zatem wię-

kszej ostrożności w wyborze ludzi i czynnościach swoich, aby nas nie zadenuncyowano...

* * *

We dworze wiejskim w Ł., w powiecie jeziorowskim ruch wielki: bo oto przed chwilą przybył posłaniec z obozu, po zasiłek pieniężny, po broń, po ładunki itp. rzeczy. Ruch wielki, a jednak w jakiejś niewymownej męce targa się dusza, gdy słyszy wieści krwawe o tych ciągłych walkach i przypomnienie jak tam wszystkiego u nich brak, jak są wymęczeni i osłabli po ostatniej potyczce z generałem Pachomowym gdzieś w okolicy Dusiat. Więc znoszą po cichu i naprędce ze wszystkich kryjówek to, co mają od dawna przygotowane. Sama pani domu, Anna S., wdowa, wysoka, o siwych już włosach staruszka, krząta się żywo, napędza do pośpiechu, młody jej syn, Piotr, do kupy wszystko gromadzi, a kolega jego, od pewnego czasu kryjący się w ich domu, porządkuje to i układa.

Czasem tylko, gdy matka spojrzy na syna, zachmurzy się na chwilę jej oblicze wspomnieniem smutnem.

Bo oto Józef — jej ulubieniec, poszedł tam, gdzie i wszyscy i — nie wrócił. Kręci więc często pukiel swych siwych włosów, który już się spuszcza na dół twarzy i szepce sobie z cicha: a jednak i tego ostatniego oddam Tobie Ojczyzno, gdy będzie potrzeba...

Była ona bowiem z liczby tych matron, których życie składało się z łez, smutków i zawodów, a jednak promieniała zawsze pogodą, wiarą i rezygnacyą. Z tych już natenczas szczątków rozbitego narodowego życia gromadziły one w duszy na przyszłość, zasób sił świeżych i nowych, dzieliły się tym skarbem z innymi, umacniały ich w przedsięwzięciu i godziły z potrzebą ofiar, wyrzeczenia się...

Mawiała zwykle:

— Tym wiatrom chłodnym, które na nas wieją z północy, zawsze przygotować coś warto dla ich ogrzania — kończyła ze znaczącym uśmiechem.

Krzątała się gorączkowo, bo w domu pozostawała sama jedna, córki jej, Eleonory, nie było pod ten czas na wsi. Z Jezioros do Dyneburga, a stamtąd do Wilna i napowrót, t. j. tam, gdzie dojmowała bieda, gdzie gnieździł się smutek, gdzie była potrzebna pomoc i ratunek jeździła ona ciągle, zazierała do przepełnionych więzień politycznych, dzieląc się z matką pracą i obowiązkiem. A gdy była poza domem matka jej stawała się tu prawdziwą opatrznością. I dziś jej wysoka postać pochylona odznaczała się wyniosłym cieniem na ścianach obszernej komnaty, której najcenniejszą był ozdobą zegar stary — dar Kościuszki dla jednego z przodków pani domu. Zegar ten o metalowej ciemno-srebrzystej tarczy, wydzwonił właśnie 8-mą i głos jego jakby

z tamtego świata, głuchym i żałosnym dźwiękiem rozszedł się w około.

Staruszka, która była usiadła na chwilę, na dźwięk zegaru drgnęła:

— Już późno, czas jechać — wyrzekła gromkim głosem.

Na dziedzińcu już stały przygotowane wozy, a choć obóz powstańców był niedaleko, bo w odległości kilkunastu wiorst, pomiędzy wsiami, w Szymańskich lasach, niedaleko granic powiatu, jednak spieszyć było potrzeba, bo stąd i zowąd nadchodziły wieści o nadciągających oddziałach wojsk. Dla bezpieczeństwa więc postanowiono, że wozy te do obozu odprowadzą młodzi ludzie, przypuszczając z konieczności do tajemnicy miejscowego ekonoma, wiecznego mruka, którego o słowo dopytać było trudno, ale który tę posiadał zaletę, że jako z tych stron rodem, znał wszystkie przejścia i drogi.

Pożegnania żadnego nie było — siadając na wóz, rzucili słowo — bywajcie zdrowi, a otrzymali odpowiedź: z Bogiem i krzyżyk na drogę i byli już za bramą.

Noc ciemna, zimna i wilgotna — było to u schyłku lata. Zarzuciwszy więc na siebie kożuszki żółte, jakich zwykle używali staroobrzędowcy, rozsiani gromadami w naszym kraju i, przykrywszy wozy rogożą, ruszyli dalej.

Droga była mozolna i wyboista. W lesie, do którego wjechali niebawem, ciemność była jeszcze

większa i coraz gorsze drogi. Smutnie jakoś szumiały drzewa, kołysane nocną wichurą, jakby się skarżyć chciały o smutku, o nędzy kraju, o tyle przelanej krwi... W cieniach nocy pochylały się smutnie drzew korony, jedne o drugie czepiały się ich konary, we wzajemnej o jutro trwodze i niepokoju. Od pewnego czasu drobny począł padać deszcz, który wsiąkał w dusze podróżnych, napawając je smutkiem i żalem. Lecz już las się kończył i zdala widniały, tu i ówdzie, spóźnione ognie miasteczka.

Zbliżali się ku niemu.

Wtem koń chrapnął i czyjś głos zatrzymał jadących:

— Stój!

Podróżni spojrzeli przed siebie — i jakież było ich ździwienie i przerażenie zarazem, gdy w świetle latarni, którą podjęto w tej chwili, dojrzeli gromadę wieśniaków, postawionych na straży miasteczka, pod opieką żołnierzy.

Żadnego wyjścia. Jechać naprzód niebezpiecznie, wracać jeszcze gorzej, a już stać w miejscu byłoby oczywistą zgubą.

Zrobiło się w duszy nijako.

Ale na rozwagę już czasu brakło. Zdecydowano, że pojadą, a tam już, jak będzie, to będzie — wola Boża!

Ale rogatka przegrodziła im drogę — i naraz otoczyło ich kilkanaście postaci, ciekawie zaglądających w oczy.

— Rzuszaj! — krzyknął po rosyjsku na swoich towarzyszy, jadący na ostatku.

— Stać! — odpowiedziano.

Przyszedł starszy i poczęła się indagacya: skąd, dokąd, co wiozą i t. p.

Odpowiedziano, że jadą z Rygi, z towarem, choć trakt ten wcale z Rygi nie prowadził. Ale jakoś to uszło.

Ale ten i ów coraz bardziej otacza ich zwartem kołem. Żołnierze naradzali się. A tymczasem deszcz wzmagał się — zwiększyły się ciemności. Mały ogarek świecy dopalał się w latarni i — zgasł.

Młody człowiek cmoknął na konia, lecz w tej chwili żołnierz uchwycił za lejce. Zapalono zgasłą latarnię.

Młodzieniec w tym wieku, a miał lat 24—25, nie może być tchórzem i ta familijność żołnierska nie podobała mu się wcale.

— Paszoł — nietrohaj! — krzyknął nań i momentalnie lejce były napowrót w ręku jego.

Usłyszawszy ten głos powtórnie, ekonom targnął swojego konia naprzód, lecz w tej chwili z grubą połajanką spadła czyjaś ręka na jego plecy.

Ekonom z całą pokorą i rezygnacyą przyjął tę wydzieloną mu porcyę i ani mruknął.

Jadący na drugim wozie kolega Piotr, z największą flegmą dorzucił:

— Wot tak i śledowało — czeho stojat'!

Chosz i ty? — zapytał ktoś z gromady.

— Źle będzie z nami — pomyślał towarzysz ostatni, którzy dojrzał jak chęć do bójki stopniowo obejmowała żołnierzy. W takiej głupiej awanturze trzeba będzie tu zginąć, a więc, co będzie, to będzie — pochwycił bicz i, kręcąc ponad głowami żołnierzy, zakrzyknął:

— A wy takije to takije... wy nas nie tylko zatrzymujecie, ale i rozbijać chcecie, kiedy my z rozkazu wieziemy towar naczelnikowi? Będziecie mieli jutro rozprawę — i tu posypał się cały słownik kulturalnych połajanek...

— Nu k' czortu s nimi — podnimaj zastawu! — krzyknął starszy, na którym imię kapitana zrobiło duże wrażenie. — Puszczaj! skazano wam — powtórzył znowu, widząc, że kilku zuchwalszych zagrodziło drogę.

I czas już był wielki. Źle opakowane, lub w drodze roztrzęsione rozłaziły się wozy podróżnych, dzwonić poczynały butelki z prochem, po które chętnie wyciągnęłyby się dłonie żołnierzy — na rozgrzewkę. Ale noc ciemna wszystko zasłoniła i przykryła.

Chwała Bogu, Scyllę już przebyli.

*
*   *

Miasteczko S., do którego wjechali, położone jest na granicy dwóch powiatów: wiłkomierskiego i jezioroskiego. Wiodły doń trzy główne trakty: od Poniemunia i Dyneburga, którym podró-

żni wjechali do miasteczka; od Ponedela i Rygi szedł trakt drugi, obok nowego kościoła i klasztornych zabudowań, zmienionych w owe czasy na koszary wojskowe i trzeci trakt na Soły, Szymańce i Kupiszki, którym wydobyć się z miasteczka było potrzeba. Droga ta wiodła obok starego kościoła, fundacyi niejakiegoś Skopa w XVI w. i dalej przez most odgraniczający dwa powiaty. Z prawej strony mostu stała i stoi podobno po dziś dzień biała karczma, przy której się zatrzymali.

Stary żyd, który znał podróżnych nie spał jeszcze.

— A panicze co tu robią o tej porze? — z trwogą zapytał, a zobaczywszy wozy, sięgnął do nich ręką i przycichł nagle. Stał długo w miejscu i usta mu tylko poruszały się zwolna.

— Oj szlecht, wielki szlecht jest — rzekł on z cicha i panowie z tem nie przejadą. I jak to, za przeproszeniem, nie wiedzieli, że do nas dziś znów wojsko przyszło i straże stoją przy wszystkich rogatkach?

Opowiedziano mu, co i jak było. Żyd się zdziwił, cmokał gębą i kiwał głową — ale milczał. Wkońcu zadecydował, że tu może być jeszcze gorzej, więc niema innej rady, jak towar zatopić w wodzie, a konie i wozy zostawić w karczmie do jutra.

Karczma właśnie przylegała do długiego jeziora otoczonego sitowiem, które rosło na jego

grzązkich i błotnistych brzegach. Z lewej strony drogi ciągnęły się daleko moczary, pokryte mchem i rdzawą wodą, gdzieniegdzie zasłoniętych marnym i nikłym krzaczkiem łoziny, na tem pustkowiu rosnącym. Podróżnych więc otaczały, z prawej strony, wody jeziora, z lewej, bagna nieprzebyte, za niemi strażnice i przed niemi strażnice, a najgorsza właśnie ta, przez którą przedostać się było potrzeba. Stał tu bowiem dobrze im znany kapitan S.

Była to figura surowa, dzika, a w tych smutnych czasach wszechmocna. Jeden z podróżnych znał kapitana bliżej — był w jego łapach na skutek oskarżeń generała Pachomowa, z których się jakoś wydobył; stawał przed sądem wskutek jego donosów, oskarżony o różne czynności zbrodnicze, który dzięki pomocy porucznika P. szczęśliwie się zakończył; przez niego zawiodła kapitana nadzieja posunięcia się na szachownicy karyery służbowej; wkońcu był wściekły, że o jego sprawkach różnych, o propozycyach Murawiewa, o zamiarach rządu, o których w jakiejś chwili naiwnej p. kapitan był się wygadał, pisano i komentowano. Rękopis ten wpadł w ręce Murawiewa, który rozkazał poszukać autora i wydobyć go choćby z pod ziemi, a tu go nigdzie odnaleźć nie było można.

Wprawdzie wtrącono w zamian do więzienia ziemianina K. z powiatu jezioroskiego, u którego w domu ten rękopis odnaleziono, ale przy po-

równaniu pisma okazało się, że nie był pisany przez niego.

Chwila wówczas ta dla młodego człowieka była groźną — pachnęła szubienicą, ale straszniejszem byłoby przekleństwo zaparcia się swego czynu.

Młodzieniec był przygotowany go zastąpić — było to jego obowiązkiem. Być może — zależało wówczas od fantazyi wielkorządcy — że zamiast jednego powieszonoby dwóch, ale godzili się z tem wszyscy i on sam i jego rodzina. Szczęśliwe wydobycie się z więzienia p. K. zakończyło tę sprawę, ale w duszy kapitana pozostał osad — pozostały męty. Szukał więc wszędy młodego człowieka, pragnąc zakończyć z nim rachunki, zwątpił o tem wkońcu, a oto on sam we własnej osobie wpadał mu do rąk dobrowolnie.

Co za radość, co za zwycięstwo!

Podróżni byli więc w pułapce.

Ale czas zastanowienia się i rozwagi jeszcze był nie nadszedł i jakiś upór wewnętrzny gnał ich naprzód.

Wszystko jedno — tak, czy owak, kiedy innego wyjścia już nie było.

Nawet żadnej łódki u brzegu jeziora.

Młody człowiek zrozumiał położenie swoje, czuli to samo i jego towarzysze, ale nie napełniało ich to obawą żadną — przeciwnie, młodego człowieka porwała złość. Zrobić kapitanowi figla i pod oknami domu przejechać niespostrzeżenie,

toż to byłoby kpiną krwawą i szyderskim odwetem i aż powstał na wozie, tak mu coś zagrało w duszy. Ale spełnić to było zupelnem niepodobieństwem, więc tylko szeptał sobie z cicha:

— Otóż mię mieć nie będziesz — Nie! nie!...

Obmacał broń przy sobie.

Nikt nie chciał się cofnąć.

Tam, po lasach, wymęczeni, biedni — pędzeni jak dzikie zwierzęta, tułali się ludzie, ci ofiarnicy idei, ci męczennicy sprawy, nie mający dziś może nic na swą obronę, ani odzieży dla przykrycia siebie, ani pożywienia, a tu wiozło się tego wszystkiego trzy duże wozy. Jakże zostawić to po drodze lub topić w wodach jeziora?...

Gorzało i wyło w duszy, zmieniając się kolejno w żal i ból, ale ponad tem wszystkiem szalała w piersiach złość, że się bezwiednie przyczynia do cudzego szczęścia i zwycięstwa — do szczęścia i zwycięstwa wroga. A że się napotkać mogła w tej lub innej formie śmierć, o tem wtenczas nie myślano wcale.

Młody człowiek jadąc za innymi, wkońcu zaprzestał myśleć. Zapanowała w duszy jego, po zbytecznem napięciu władz żywotnych jakaś pustka bezbrzeżna, jakieś zobojętnienie zupełne i gdyby jeszcze mógł się cofnąć i uciekać, jużby tego nie uczynił.

Zbliżając się do strażnicy przypomniał tylko sobie, że miał tu wielkiego swojego przyjaciela — po-

rucznika P., małorusa, który go nieraz z ciężkich terminów ratował, i który często wyręczał kapitana w jego czynnościach służbowych. Przemknęło więc w myśli naraz — a nuż? Ale właśnie, jak na urągowisko, kapitan S. stał oto przed gankiem, wydając jakieś rozkazy żołnierzom.

Tyle już minęło spraw życiowych, tyle od tego czasu burz przeszło i tyle się widziało plam krwawych na niebie i na ziemi, że wrażenia dawne, obrazy minione mogły już zatrzeć się w pamięci i w duszy człowieka. A jednak ta chwila tryumfu jednego, a poniżenia drugiego, była czemś strasznem, okropnem, kiedy doznane wrażenie zostało u niego do dziś dnia... Śmierć co mu spoglądała w oczy, była odeń daleko, jej już się nie lękał, bo było coś gorszego nad śmierć samą...

Lecz w oświetleniu latarń kilku przemknął jakiś cień — błysnęło coś na ziemi. Młody człowiek mimowoli spojrzał na punkt ten błyszczący, który przed gankiem się zatrzymał.

I naraz porwał go śmiech — szalony, śmiech — nieskończony. Odwrócił głowę z drugiego wozu towarzysz jego, ekonom nawet poruszył się na siedzeniu, a on się śmiał... po prostu nie mógł się już powstrzymywać — rozigrały się nerwy...

— Sumaszedszyj! — odezwały się tu i ówdzie głosy.

— Jej Bohu, sumaszedszyj! — odpowiedział młody żołnierz, który był się zbliżył do wozu i zwolna odeń odchodził.

Uczyniła się około wozu próżnia.

Był bowiem w tym samym pułku porucznik, przezwany »Kaloszowym«, wysłużył się z prostego żołnierza.

Otóż wszędzie, czy go kto chciał widzieć, lub nie, wchodził w swoich błyszczących kaloszach, które miał na nogach, jak zapewniał, pierwszy raz w życiu i, siedząc w salonie, z lubością na nie spozierał. Nie był on szkodliwym człowiekiem, miał jedną tylko pasyę — lubiał grać, a że tęż samą namiętność posiadał i kapitan, przychodził więc do niego na partyę.

Deszcz już był ustał.

Podróżni stali przed rogatką.

Paliły się latarnie, trzymane w rękach żołnierzy i widniały w tych słabych blaskach ich twarze zmęczone, ich barki pochylone przez długą szarugę; świeciła zdala broń, odzywał się gdzieniegdzie brzęk pałaszów, zbliżających się żołnierzy; z drzew, z krzewów, z dachu spadały krople... Zresztą cisza była wokół i ciemność w dal rozścielała się bez końca...

— Czeho — kto? — odezwał się kapitan, ale przewodnik »kaloszowy« już prowadził go w głąb, aby nie tracić czasu.

— Piotr Iwanowicz, a Piotr Iwanowicz — ozwał się głosem gromkim znów kapitan.

— A ja wot zdieś — jakby z pod ziemi odpowiedział głos.

— Pożałusta — w dalszym ciągu mówił ka-

pitan. — Uż iditie, iditie — zakończył rozmowę porucznik.

Podróżni odetchnęli.

Porucznik P. podszedł do pierwszego wozu i o coś zapytał, ale ekonom swoim zwyczajem coś tylko odburknął. Obszedł wóz drugi i stamtąd doleciała odpowiedź, że jadą z Rygi — z towarem; a że młody człowiek z wozem stał w cieniu, kazał żołnierzom poświecić.

Spojrzeli sobie w oczy... i zatopiły się te spojrzenia w sobie...

Na razie widniało na twarzy porucznika zdziwienie i niepewność, powoli jednak potem zmieniała się twarz jego w niepokój widoczny i strach. Pogodne oblicze jego zasnuwały cienie, w oczach to gorzały blaski, to znów zapadała ciemność zupełna — martwota... Poszedł bliżej. Długo tak stał i dumał i jakby mocował się z sobą — w duszy jego wyraźnie staczała się walka...

— Nu, nu, — mruczał jakby do siebie, lecz nagle podniósł głowę i krzyknął głosem, który był jakiś naglący i groźny.

— Puskaj siejczas! — a jednocześnie zwrócił się i stanął przy płocie.

Rogatka nagle pomknęła w górę.

— Śledowałoby Wasze Błahorodje s nich, wot etich kupcow wzia't na wodku — chołot tak i probirajet.

— Da, prawda — odpowiedział porucznik

jakby znużony i senny, poszukał w kieszeniach i rzucił im srebrnego rubla.

— Radi staratsia! — zakrzyknęli wszyscy!

— Podróżni nie czuli strachu. Połajanka szła gładko, budziła siły, energię, następnie obojętność i jakby zapomnienie tego, co ich czekało. Jechali jednak szybko, obawiając się pogoni, jechali w milczeniu i daleko już miasteczko zostawili za sobą, gdy młody człowiek uczuł ten charakterystyczny dreszcz, który go zawsze nawiedzał po spełnionym czynie, lub dokonanem badaniu.

— Brr... — pomyślał sobie — czy warto było narażać życie dla tak małej rzeczy?

— Ale było się wtedy młodym.

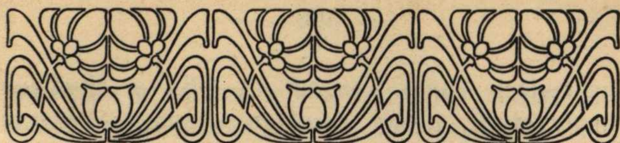
Już dniało kiedy zjechali z gościńca przemokli i zziębli. Deszcz dawno już ustał, przezierał chmurny dzień i w poświacie porannej widniały ich twarze jak upiory...

I Charybdę już byli pozostawili za sobą...

Wilno. 1908.

DNI OFIAR

OBRAZEK Z 1863 R.



Na Litwie, w głąb puszczy Rogowskiej wtulony, stał mały dworek szlachecki, zwany Jodłówką, zamieszkały przez starego Szymona Z., napoleońskiego żołnierza i uczestnika wojny 1831 r. Osada była niewielka, ale dobrze obudowana; posiadała żyzne niwy i bogate łąki, a w puszczy skarbowej, z którą graniczyła, było podostatkiem pożywnego pastwiska.

Długie lata żył samotnie stary wiarus, aż dnia pewnego, już późnej jesieni, przywieziono mu wnuczkę jego, pozostającą na opiece dalekich krewnych, w okolicach Polesia.

Ożywił się więc od tego czasu dworek, a nawet dziadek jakby się rozruszał w swej dotychczasowej samotni i zatroskał się o dziecko, które się budziło rankiem dnia każdego, napełniając go śpiewem i szczebiotem.

Nazywali ją skowronkiem.

Była to młoda dziewczyna, pełna tchnień wiosny, żywa i zwinna jak wiewiórka, nieuchwytna jak blask, gorejąca jak skra. Stała się przeto od razu ulubienicą dziadka. Bo co prawda, miał ją jedną

na świecie całym i przed nią tylko w chwilach uroczystych, dzieje swojego długiego żywota opowiadał. Oczywiście dziewczyna słuchała słów jego z wiarą głęboką, pochłaniała je z przejęciem się gorącem, a gdy potrącił o walki staczane niegdyś, wrzała jej krew młoda i biła przyspieszonem tętnem w jej sercu. Lecz dziadek nie zawsze lubił wspominać te zamarłe dzieje i często ani prośba gorąca, ani pieszczoty ukochanej wnuczki, nie mogły otworzyć podwoi duszy jego, które pragnął, aby były zamknięte. I w dni te starzec cichł i tylko się modlił przed obrazkiem nad łóżkiem jego zawieszonym — modlił się wspomnieniem...

Natenczas dziewczyna szła w pole, na łąki, do lasów otaczających i tam jej głos rozbrzmiewał i tam śpiewała ona Bogu, ludziom i sobie.

Ale przyszły smutne dni i śpiew dziewczyny ucichł. Milczały dalekie pól rozłogi i lasy i sioła, a dziadek skupiony w modlitwie, czy rozpamiętywaniu, codzień był chmurniejszy...

Czasem szły przez świat jakieś głuche wieści o wojnie, zaszumiał wiatr i rozniósł pył ziemi, częściej gdzieś pies zawył, lub złowróżbnie zakrakały wrony.

A gdy zamilkł starzec, dziewczyna snuła się po kątach chaty ze łzą w oku, cicha i trwożna. A tymczasem już w poblizkich lasach ozwał się szum nieznany, nowy, ukazali się jacyś obcy ludzie, podnosiły się ku niebu jakieś dymy... a wraz

za tem, w ślad za niemi, »popłynęły szeregi długie, ciemne, dalekie, jako morza brzegi...«

. . . .

O świtaniu zbudziła się dziewczyna — duszno jej było w chacie. Słońce jeszcze nie wzeszło i tylko zaróżowił się purpurą skraj nieba od wschodu, kiedy z oddali doleciał wystrzał, jeden, potem drugi, nieskończony.

Dziewczyna drgnęła — zafalowało jej łono, zadrgały rozchylone nozdrza, znieruchomiały jej źrenice, a strzały rozlegały się coraz gęściej, coraz bliżej, aż dojrzała w oddali postać na koniu, wynurzającą się z lasów, a za nią jeszcze kilku, kilkunastu — całe szeregi i zabrzmiał okrzyk: »Zdawajsia — zdawajsia...«

Pierwszy świt budzącego się dnia i pierwszy brzask duszy młodzieńczej zeszły się w tym smutnym poranku — pogoni wielu za jednem życiem ludzkiem.

Uciekający i goniący zbliżali się... Koń z rozchylonemi chrapami, pokryty pianą, z okiem krwią nabiegłem, stękając głucho dobywał ostatnich sił, a jeździec na nim pochylony, rzucał wzrok na strony, szukając ratunku i schronienia. Wtem spojrzał na dziewczynę stojącą przy drodze z rozwartemi ramiony i — nagle przystanął. Koń wstrzymany w rozpędzie zarył się tylnemi nogami w ziemię. Była to chwila tylko. Z oczu jej strzelił blask pełen uniesienia, lecz trwogi i bolu zarazem,

a w oczach śmiertelnie znużonego młodzieńca, jakieś ciche powitanie, bez słów. Błysk jeden, chwila jedna tylko, ale jaka wymowna! Cała dusza była w tej zapalonej iskierce, cała siła w tych zapładniających ją blaskach i cała potężna groza w tych już zaraz zapadających mrokach.

Dziewczyna niepomna niczego rzuciła się naprzód — ku niemu, lecz w tej chwili koń ugodzony kulą nadlatujących żołnierzy upadł na drogę.

Okrzyk zgrozy wybiegł z ust dziewczyny.

Młodzieniec był zgubiony.

A gdy nadbiegły goniących szeregi, stanęła przed nimi rozkazując im się zatrzymać.

Na czele oddziału jechał oficer kozacki. Twarz jego była młoda, lecz tchnęła już okrucieństwem. Surowe, pełne stalowych połysków były jego oczy; w szyderczym uśmiechu wpół rozwarte usta odsłaniały szereg młodych, ostrych, jakby wilczych zębów; a głos powziętego zamiaru rwał się mu na usta z zduszonej krtani.

Dziewczyna zbliżyła się ku niemu i z piersi ściśniętej żalem wybiegły słowa:

— Panie — to brat mój!...

Oficer groźnie spojrzał na nią. Widok młodego dziewczęcia, ten głos, ten wzrok niewinności co ją otaczał i zda się od niej promieniał, nie poruszył widocznie żadnej ze strun uczuć szlachetnych w piersi dowódcy oddziału — przeciwnie, zbudził w niej ognie pożądania, łez, jęku, krwi...

Nim zsiadł z konia kazał przetrząść całe zabudowania, przeszukać wszystkie kąty. Znaleziono sług kilku i starego dziadka, który był już wstał, zbudzony hałasem i wystrzałami.

Dowódca zsiadł z konia.

Więzień otoczony żołnierstwem stał w milczeniu.

I patrzyły smutne jego oczy na stojącą przed nim dziewczynę i szły ku niej ich promienie i płynęły po nich uczuć fale i leciały głosy duszy jego, już w przededniu spodziewanej śmierci.

Stał spokojnie oczekując wyroku.

Tylko z lekka, od czasu do czasu, poruszały się mu usta, żalem może za tą przyrodą cudną, lub pożegnaniem blizkich, drogich i swoich, a może tylko przedśmiertną modlitwą?...

Wokół niego stawało się jasno, przeźroczo. Od łąk szedł zapach skoszonej trawy; od pól dolatywał już oddech dojrzewającego już zboża; od lasów leciała woń żywiczna; a ziemia karmicielka oblana ranną rosą, pachnęła potem znoju...

W powietrzu nuciły skowronki zawieszone na wyżynach, nad głową swej siostrzycy, co stała wpatrzona w twarz młodzieńca. Huczały bąki, brzęczały pszczoły, kipiała zdala przyroda cała z nadmiaru obudzonego życia, a to już na jednego z synów tej ziemi i jej obrońcy, czyhała śmierć okrutna...

Rozpoczęło się badanie...

. . . .

A tymczasem zbudziła się już przyroda, złociło się niebo na wschodzie i poprzez drzew wierzchołki odległych lasów, wyzierało słońce, które wschodziło i promieniało zawsze jednako — czy była na ziemi cisza, czy burza, czy spokój, lub wojna. I szła jasność w przestrzeń, w dal i zapalała drobne brylantowe rosy na liściach, na trawach, na ziołach — tylko nie w duszy ludzkiej.

Dziewczyna stała harda, z podniesioną głową. W jej piersi rwało się wszystko w krwawym bolu, krzyczało wielkim głosem żalu, a w duszy jej podnosiły się i rozlewały wezbrane wody wiosennych burz...

Spotkali się z sobą w zaraniu życia, a zarazem u progu śmierci. — Szczęścia krótka chwila!...

Długo trwało badanie, lecz niczego więcej nie dowiedziano się, jak tylko to, że młody więzień zwał się Konstanty Puhaczewski, że partya rozbita była oddziałem Wykładnika (Żukowskiego), który, po śmierci naczelnika, wcielony został do partyi Gaspra Maleckiego, pod wodzą Albertusa.

We wnętrzu dworku tymczasem gospodarowali już kozacy...

I wszystko co słyszała niegdyś dziewczyna z ust dziadka, stanęło naraz przed nią w całej swej życiowej ohydzie...

Dziadek tylko siedział na zydlu milczący. Na zastygłej jego twarzy niczego dojrzeć nie było można — patrzał z niej spokój grobu. W życiu

swem długiem tracił już tyle, że to co dziś widział nie obchodziło go wcale. Starzec myślał tylko, z głową na piersi zwieszoną, że dawniej były tytaniczne boje i byli bohaterowie tych walk, a dziś po prostu zbóje i rabusie. I jakby w przeczuciu śmierci, która skądś szła już ku niemu, wspomniał pola Raszyńskie, na których otrzymał pierwszy chrzest krwi i śnieżne równiny Moskwy i Smoleńska i krwawe widma Grochowa, Wawru, Ostrołęki... A na tle tych widzeń przesuwały się postacie ks. Józefa, Skrzyneckiego, Dębińskiego i innych...

Więc gdy jeden z żołnierzy począł zdzierać ze ściany, zawieszony tam świecący się obrazek N. Maryi Panny i sięgnął po rdzą już okryty pałasz, dawnych, już minionych walk świadek i uczestnik, zawrzała oburzeniem krew w starcu za nieposzanowanie Jego życiowych pamiątek. Podniósł się z miejsca, szukając oczami ukochanej wnuczki, a nie znalazłszy jej przy sobie, z siłą niezwyczajną porwał za broń dlań świętą... Na krzyk rabujących żołnierzy, wbiegł do komnaty młody oficer, a widząc starca z bronią w ręku, wydobył z za pasa pistolet i wystrzelił. Starzec upadł brocząc się we krwi i pałasz z rąk mu wypadł z brzękiem na podłogę...

A tymczasem nadeszło więcej wojska i zebrał się sąd. Wybrana starszyzna zasiadła za stołem. Zwykle na sądach podobnych głosowanie roz-

poczynało się od najmłodszego wiekiem lub stanowiskiem.

Pierwszy przemówił młody oficer kozacki.

— Na śmierć! — wyrzekł gniewnie.

— Na śmierć! — robiąc na piersiach znak krzyża świętego, odrzekli drudzy...

. . . .

Złociło się słońce na niebie i wysoko już stało nad głowami. Żar południa obejmował zgłuchły dworek. Zdeptane kopytami końskiemi trawy jeszcze bardziej pochyliły głowy. W obejściu całem panowała cisza uroczysta i zdawało się, przyroda zatrzymała jakby w sobie oddech życia.

Z oddali — z za lasu wyjrzała jakaś postać. Szła ona wprost polem zoranem, niwą obsianą, łąką jeszcze nieskoszoną i zbliżywszy się do zagrody stanęła.

Był to stary, wiejski żebrak. Szedł on do swej opiekunki i karmicielki. — Znał ją od dziecka, od czasu, gdy ją z dalekich stron przywieziono, lecz cisza jaka otaczała dworek, w którym rozbrzmiewal zawsze śpiew dziewczęcia, tak mu dobrze znany, wstrzymał kroki jego.

Słyszał bitwę nad ranem, widział pędzących do dworku kozaków i zatrwożył się.

Lecz wtem zawył pies.

Dziad drgnął i wyprostował się. Było bowiem w tym głosie wiernego, domowego zwierzęcia coś tak żałosnego, smutnego i zda się wołają-

cego o ratunek, że stary żebrak żwawiej naprzód się posunął.

Na dziedzińcu nagle się zatrzymał.

Stado kruków i wron nagle podleciało w górę...

U płotu przywiązany zwisał trup młodzieńca...

U stóp jego kałuża krwi...

Z głową pochyloną ku tej ziemi ojczystej, za którą umierał, stał on już tam, przed Sędzią umarłych i żywych...

Wrony i kruki, co były się podniosły za zbliżeniem się człowieka, opadły znowu i obsiadły dziedziniec dokoła. Jeden z nich, śmielszy widać, stojąc na głowie skazanego wydziobywał te kochane, drogie oczy, wycałowane przez matkę w dziecięcych dniach...

Dziad się cofnął i wszedł do chaty przejęty trwogą. Obszedł kąty. Cisza była wszędy. Wtem potknął się o coś. U nóg jego leżał rozciągnięty na ziemi trup starca. Lewą ręką przyciskał obrazek do piersi wyschniętych, prawą zaś, zastygłą w skurczu śmiertelnym, sparł już bezwiednie na swej towarzyszce.

Była ona mu wierną — aż do grobu... Ze wszystkich walk, staczanych za młodu, za Ojczyznę, wychodziła krwawa, ale czysta i nieskalana jak honor żołnierski. Broniła biednych, cierpiących, uciśnionych...

Żebrak rozglądał się wokoło, ale nigdzie dziewczyny nie było. Pies zawył powtórnie. Głos ten wychodził z komory. Odchylił drzwi.

Na łożu leżała dziewczyna... Blada jej twarz była już martwa... Upadła, zasłyszawszy wystrzały wyroku... zmógł ją ból... Rozwarte i przerażone jej oczy patrzały ku niebiosom z niemym wyrzutem i jakby skargą milczących zastygłych ust... Z oczu zmartwiałych i szklistych zwisały zastygłe krople zamarłego życia... I zmilkła już na wieki piosnka skowronka o zaraniu...

A wokół cisza — przerażająca cisza, przerywana niekiedy tylko krakaniem wron i kruków...

I w piersi ubogiego starca, w tej ciszy duszy jego, w tej strasznej pustce wokół, tłukło się tylko serce głucho i myślał on: i kiedyż przyjdzie dzień sądu i rozrachunku: — tam — u Boga, czy tu — na ziemi?...

MOGIŁA NAD NIEWIAŻĄ

WSPOMNIENIE Z R. 1863.



Nad brzegiem rzeki Niewiaży, na wyniosłem wzgórzu, otoczonem wiekowymi dęby, leży mała wieś kościelna — Świętobrość.

Wokół niej widnieją dwory, sioła, a poza niemi rozlegają się dalekie widoki i przestwory, nurzające się już w mgłach. U stóp wzgórza przewija się kręte koryto rzeki, okolone gąszczem krzewów: głogu, berberysu i kaliny, na gałęziach których zwisają purpurowe jagody, jakby krople krwi — oplątane wieńcem dzikiego chmielu; a tam niżej, prześwieca tu i ówdzie srebro wód, płynących ku oddalonym brzegom Niemna.

Osada to odwieczna — pogańska, jak wskazuje jej nazwa: »Szvintas brastas« — Święty bród — prowadzący w podaniu ludu ku miejscu dawnej świątyni litewskich bogów, lub ofiarnego Znicza, a dziś — do mogiły poległych ofiar 63 roku.

Przyłóżmy ucho do łona tej ziemi i wysłuchajmy opowieści.

*
* *

O śmierci, tyś końcem i męki i zbrodni...
W twoim uścisku giną sił różnice —
I poza tobą — jednych praw granice
I w tobie siła...

Na leśnej polanie, w cieniu drzew, na więdnącym już kobiercu polnych ziół i traw jesieni. legli znużeni długim pochodem powstańcy. Gromadka to była niewielka, z 30 przeszło osób złożona, która przebierała się lasami na południe i unikając pogoni, zapadła w tym głuchym zakątku na chwilowy wypoczynek. Jakiś smutek, jakaś serdeczna troska wypisana była na twarzach tych tułaczów, szukających na własnej, ojczystej ziemi ucieczki i schronienia, jakaś wewnętrzna zda się żałość nad czemś niespełnionem i rozwianem, jakiś zawód i rozczarowanie. Nie widać tylko było na nich trwogi, bo na wszystko byli już zobojętniali i zrezygnowani... Rozumieli, że czeka ich śmierć okrutna, lub w dłuższych męczarniach niewola; rozumieli, że już rozwiały się nadzieje życia i że nie tylko oni — jednostki, lecz i cały naród na ofiarę stosunków międzypaństwowych został poświęcony. Pragnęli więc już jakiegokolwiek końca — jakiegokolwiek kresu — życia, czy śmierci.

Byli to przeważnie młodzi ludzie. Widniały tam twarze synów możnych rodzin i dzieci ludu, uszlachetnionych i zjednoczonych z sobą przez tę krew wspólnie przelaną za wolność kraju; widniały tam typy różne, z różnych stron: pol-

skie postacie ofiarnicze, ponure i zacięte synów litewskiej ziemi i obojętne w prostocie swojego powszedniego bytu, zawsze biedne i głodne, lecz wierne swej rodzinnej ziemi — postacie z nad Berezyny i Prypeci — postacie swojskie, bratnie, wspólną niewolą złączone z sobą, które wówczas szły razem, zgodnie na śmierć, tak, jak iśćby powinny dzisiaj — na życie i przez życie...

I nie wiadomo jakich losów koleją, lub jakiemś może przeznaczeniem dziejowem, zebrała się ta gromadka ludzi z różnych okolic kraju tu, w tej ciszy samotnej lasów — na wypoczynek. Wiadomem tylko było, że po rozproszeniu pod Świętobrościem oddziału ks. Mackiewicza, który będąc ranny, podążał stąd, by przedostać się za Niemen, garstka jakaś została odcięta od głównych jego sił i tu, w tej leśnej ustroni, spoczywała znużona. I nurzały się umęczone te postacie w bujnych jeszcze traw okryciu, chłonąc w siebie ich orzeźwiającą woń i obejmowały tę ziemię ojczystą w swe wynędzniałe i drżące ramiona i kładły głowy swe na to łono matczyne, które było dziś dla nich i kolebką i wytchnieniem — choć może jutro grobem...

Na uboczu siedział wąż, wyróżniający się postacią i powagą od swego otoczenia i — dumał. Może w tej chwili przeżywał jakie zamarłe już wspomnienia, może go nawiedziły jakie młodzieńcze sny złote — ułudne sny i nadzieje, dziś rozwiane i rozbite — a może czynił on obrachunek

przed tem niewiadomem jutrem, które się słało przed nim w mrokach nocy — obrachunek swoich sił i sił narodu?...

I śnić i snuć pasma myśli swoich mógł on w nieskończoność, bo gromadka jego towarzyszy była jakby umarłą. Cisza była pomiędzy nimi i żaden głos nie budził ich zmartwiałych dusz, które być może w tej chwili, również żegnały się myślą z ukochanymi, a pozostałymi tam, daleko...

Przyroda nawet sama spoczywała w jakiejś poważnej ciszy i zadumie... Od czasu do czasu tylko, strącony oddechem śmierci, spadał uwiędły liść z drzewa, zdala tylko dzięcioł stukał w pnie leśnych olbrzymów, jakby wbijał gwoździe w wieka trumien, od czasu do czasu smętnym głosem ozwała się wilga, przesunęła się wiewiórka spiesząc po gałęziach drzew ku górze, powiał wiatr i cichem echem zaszumiały drzewa i znów była cisza — senna, martwa cisza...

Nagle zdala doleciał szum, jakby jakiś oddalony gwar, a leżącym na ziemi zdawało się, że płynął on jakby z wnętrza ziemi. I cóż mogło być tak dziwnego w tem, że głosy płynęły z łona tej ziemi?... Czy mało tam zwaliło się naszych ciał, czy mało wsiąkło w nią naszej krwi męczeńskiej?...

Było jednak coś w tym poszumie, który przychodził z daleka, który, czając się, jakby szedł

ukradkiem — coś z dzikiego zwierzą, skradającego się po ofiarę.

Ten i ów z leżących na ziemi podniósł głowę i rozejrzał się wokół. I zdało się naraz każdemu, że zbliża się jakaś groźna chwila, że już przyszedł czas i ostatni ich tułactwa kres... I serca w nich zabiły grozą wyczekiwania, które jest straszniejsze niż śmierć sama. A szum ten wzrastał, potężniał, ogarniał ich wokoło...

— Baczność! — ozwał się nagle głos siedzącego na uboczu.

Porwali się z miejsc swoich i uklękli.

Lecz już z gęstwiny leśnej wynurzały się postacie ludzkie, dzikie i okrutne, roznamiętnione i upojone jakby zapachem krwi...

Zbliżało się przeznaczenie...

Zagrzmiały z różnych stron wystrzały...

Byli otoczeni...

Oddział powstańczy legł poza pniami drzew, odpowiadając również strzałami, ale to trwało chwilę. Wojsk nieprzyjacielskich zachodziły szeregi, gęstniały i otaczały pierścieniem ten mały, słaby, umierający z głodu i znużenia oddział polskich bohaterów. Walka stawała się nierówną ze znacznie przeważającą siłą trzech rot regularnego wojska, wysłanych przez wojennego naczelnika poblizkiego miasteczka Kiejdan — pułkownika Dreyera.

Oddział powstańców zrozumiał, że wybiła godzina ich ostatnia, że przychodzi skon, więc po-

nad szumem okrzyków bojowych, ponad świstem kul i głosów, które wzywały ich do poddania się — z piersi obrońców uleciała w górę — ku temu pogodnemu niebu, które patrzało z obojętnością na dokonywane tu, na ziemi morderstwa — pieśń bojowa — pieśń życia ostatnia...

A była ona tak potężna i uroczysta, że na razie cofnęły się wstecz następujących wojsk szeregi. I zdawała się ona być krzykiem krwi narodu, burzą serc ludzkości całej, zapadaniem się widzialnych światów, potęg ludzkich, mocarstw, tronów... ale dalej już urywała się nuta pieśni... cichła... słabła... konała i... zgasła.

I żadnej innej na propozycyę poddania się nie otrzymano odpowiedzi.

Polegli wszyscy!...

Cóż, zda się, być mogło świętszego nad ten zgon garstki bohaterów, tam w głuszy litewskich lasów, nad brzegami Niewiaży? Cóż bardziej zdolnem było wzruszyć najbardziej choćby pierwotne instynkty ludzkie?... A jednak nie było ani jednej ofiary, którąby nie została obdartą do naga, pokaleczona do niepoznania, pokłuta i pocięta nie tylko za życia, być może w rozpaczliwej walce — ale, o zgrozo! — nawet po śmierci...

Dobijano nawet rannych!...

I widziano potem porąbane ręce i nogi, pokaleczone twarze, podziurawione ciała, poderżnięte gardła, wywalające się wnętrzności, a lud, który te ciała na poblizki cmentarz Świętoborścia od-

woził — lud, który zwykle z dziwną obojętnością na śmierć spogląda — na widok ten zapłakał...

Ale w smutne czasy owe ani nosić żałoby po śmierci naszych blizkich osób, ani płakać po nich nie było nam wolno. Z pomiędzy całej gromadki walczących, jeden tylko, już zda się umierający, uratowany został — niedostrzeżono go i te Samarytanki, które go odnalazły i do jakiejś chałupy w dzikich ostępach lasu zaniosły, za ten czyn miłosierdzia, po jego wykryciu, skazane zostały na wygnanie...

Był nim ów siedzący na uboczu młodzieniec. Powiadał, że przyszedł z daleka, bo aż z głębokiego Polesia, że długie miesiące tułał się po kraju, że pozostawił w domu młodą żonę i małe jeszcze dziecko-niemowlę — lecz nazwiska swego nie wyjawił.

Gdy przeczuł niepokój tych sióstr miłosierdzia i zrozumiał, że się o nim dowiedziano, że go szukają, postanowił pożegnać to ciche schronienie swoje...

Pewnego poranku nie znaleziono go już w chacie — poszedł w świat — może na śmierć, a może na nowe tułactwo — a może do swoich?...

Kto byli ci polegli, już uleciało z pamięci, ocalało kilka imion tylko: dwóch braci Rodziewiczów, Downarowicz, Lutkiewicz, Jakszewicz i Łukowicz... Wszystkich wrzucono do wspólnego dołu, poza ogrodzeniem, bo naczelnik, który

przybył z wojskiem na cmentarz kościelny, tu grzebać ich nie pozwolił. Gdy jednak miejscowy kapłan, ks. Szlagier, jeszcze przed przybyciem Dreyera, odnalazłszy jakąś trumnę, jednego z poległych już był złożył do dołu na cmentarzu, naczelnik kazał go napowrót wydobyć i gdy trumna stanęła na brzegu, kopnął nogą zwłoki męczennika i rozkazał »etich sobak wybrosit' w kanawu«.

Takiem to błogosławieństwem żegnano nas wówczas na drogę wieczności!

Dziś młode pokolenie, z ludu, opowiadając smutne dzieje dnia wczorajszego, przekazane im przez świadków tych krwawych dni, — pod wpływem różnych agitatorów, zmieniających całą genezę ruchu powstaniowego, z niechęcią zdaje się wspominać tę smutną przeszłość naszą a nawet jej urągać, nie rozumiejąc jeszcze, cośmy dla niego uczynić chcieli — nie rozumiejąc, żeśmy go tą krwią naszą, wylaną na ojczyste niwy — zbudzili do życia i narodowego uświadomienia...

* * *

Do dziś dnia, poza cmentarzem, wznoszą się dwa kopce mogilne i leżą tam nienaruszone bohaterów prochy. Przez długie przeszłe dni kąpała je ranna i wieczorna rosa, ubierało lato w zieleń i kwiaty, otulały je śnieżne puchy... Od czasu do czasu wędrowiec z dalekich stron kładł

na te groby polne wieńce, przechodzień klękał przed nimi do modlitwy... aż w lat 44, w tumanach letniego poranku, ujrzeli mieszkańcy blizkich siół nad tą mogiłą wznoszący się ku niebu wyniosły, biały krzyż...

. . . .

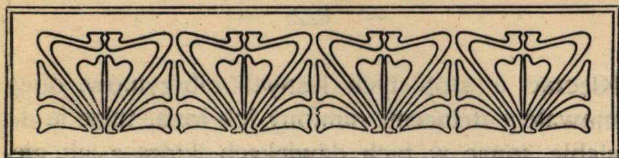
. . . .

Zawiszyn. 1907.



W PUSZCZY

(OBRAZEK Z 1863 R.).



...W dali mroki — ponura głusz leśna —
Starej Litwy siostrzyca rówieśna,
Starej Litwy domowe ognisko,
Wajdelotów i bogów siedlisko.
To kolebka litewskiej swobody!
Tu jej sioła — jej twierdze — jej grody
I mogiły . . . .

Wędrując po kraju i rozpytując o przedwiekowe litewskie kurhany i mogiły z minionych krwawych dni, tak gęsto rozsiane po całym kraju naszym, zbłąkałem się w bagnach i wertepach Łańskiej puszczy i zmęczony długą drogą, usiadłem u stóp starego, próchniejącego już dębu na wypoczynek. Widok tego dalekiej przeszłości świadka zbudził wspomnienia dawne moich młodych lat. I stanęły przedemną rozległe i mroczne głębiny leśne, urosłe nieraz z krwawego pyłu ziemi, tak mi niegdyś dobrze znane — takie ciche, swojskie i kochane. Pamiętam, jak w owe dni promienne, w ich ciemne łona patrzyły ciekawie oczy moje, jak ich poważny i tęskny zarazem szum mię rozmarzał — ich woń upajała...

Klęcząc u stóp tych leśnych olbrzymów, obejmowałem drżącemi ramiony ich łona, tuląc je do siebie, tonąc w tych dźwiękach, które z ich głębin szły ku mnie — upajałem się ich oddechem... A o wieczornej zorzy, gdy do snu one się kładły, szept cichy wspólnego pacierza grał mi w duszy hymnem stworzenia, pieśnią przeszłości — kładł mi w pierś ciepło rodzinnej ziemi...

Ponad brzegami rzeki Świętej, wznosiły się w owe dni sosnowe bory i szły ku niebu wonne dymy ich tchnień żywicznych, mieszając się już dalej z chłodnym, jakby grobowym wiewem świerków i jodeł Szymańskiej puszczy. Wspaniałe w swoim majestacie wyciągały swe ramiona tam, hen, dalej, ku »Zielonej puszczy«, przez wojska w r. 1863 — »Carstwom Polskom« zwane, ku granicom powiatu Poniewieskiego rozciągających się; łączyły się w bratnim uścisku z ponurą Rogowską puszczą i wkońcu zlewały się w kilkasetwłokowej połaci lasów Łańskich w powiecie wiłkomierskim położonych, które należały do dóbr Towian ks. Radziwiłłów i innych pomniejszych właścicieli ziemskich.

Puszcza ta ongi była nieprzebytą, pełna błot i wykrotów, a miejsce, które wybrałem na wypoczynek, było dzikie, pustynne i od siedzib ludzkich dalekie. — A choć las młodemi pędy wystrzelał już ku górze — widne były jeszcze stare, olbrzymie, gnijące, lub już pogniłe pnie umarłych drzew, zalegające przestrzeń dokoła i z ca-

łego otoczenia łatwo zrozumieć było można, czem ten zakątek był przed kilkudziesięciu laty.

Oczywiście, był on natenczas nieprzebytą głuszą leśną, schroniskiem zwierza i ludzi, wyjętych z pod prawa. A przed niespełna pół wiekiem tych ludzi ściganych jak zwierzęta — ludzi, którzy już nie mieli swojego rodzinnego ogniska, ani schronienia — było wielu...

Skąd przychodzili i kto byli oni?...

Gdy burza dziejowa rozszalała się nad krajem naszym, niejeden dwór, niejedna wioska, z których wyruszyli młodzi ludzie do powstania, z rozkazu ówczesnego Wielkorządcy Litwy — Murawiewa, a potem już nawet z rozporządzenia pierwszego lepszego naczelnika oddziału, spaloną i zrównaną z ziemią została. Ziemię taką oddawano burłakom, jak Ibiany itp., a pozostali mieszkańcy— starce — kobiety — dzieci — szli na wygnanie. Nieobecni, lub ratujący się ucieczką — zmuszeni byli ukrywać się.

Gdy partya rozbita poszła w rozsypkę — jednostki, odcięte od swoich, niechcące złożyć broni, lub posiadające wiarę w interwencyę Europy — do czasu kryć się musiały.

I ci, którzy dawali ratunek zrozpaczonym, ranionym, głodnym lub umierającym współbraciom, obawiając się srogiej za to kary, bo ciężkiej i pełnej męczarni drogi etapem na Sybir — szli tam się ukrywać.

Któż ich policzy?...

Roiły się przeto lasy w latach owych ludzkimi cieniami; echa leśne rozbrzmiewały ich jękiem...

Wojska nieprzyjacielskie nie zawsze szukały nas w tych mrocznych głębinach, obawiając się zasadzki, więc w tych dzikich ostępach i matecznikach, gdzie lęgło się zwierzę, przytulony czaił się człowiek.

Las natenczas był jedyną ucieczką i schronieniem.

Po bagnach i trzęsawiskach, pod zwałami drzew na mrowiskach — do czasu, do jutra, leżeli ludzie...

Dokuczał często głód dnia i chłód nocy, wjadały się w ciało owady, cięły do krwi »moszki« i komary, których w obawie, aby kryjących się nie spostrzeżono, odegnać ogniem i dymem nie było można, rozpadała się odzież, przesiąkła wilgocią ziemi, słabły siły, gasły prężące się oczekiwania jutra, które nam miało przynieść wyzwolenie.

Kryliśmy się po lasach, tam organizowaliśmy partye, zakładali obozowiska, nie chcąc narażać na odpowiedzialność nikogo z tych, co pozostali i iść z nami na bój nie mogli...

Kryliśmy się po lasach, pragnąc wyćwiczyć żołnierza, nauczyć go obowiązków, zahartować jego ciało, spróbować sił i wytrwania.

Kryliśmy się po lasach nie w obawie śmierci, lecz chcieliśmy przetrzymać dłużej akcyę powstań-

czą i doczekać tego, czegośmy jednak nie doczekali — interwencyi od tych ludów Europy, którym dawaliśmy niegdyś — przed laty — pomoc i ratunek.

A gdyśmy, tułając się po kraju, staczali krwawe nieraz walki, reszta żołnierza nieprzyjacielskiego rabowała nasze dwory i sioła i znęcała się nad tymi pozostałymi w dworach i siołach naszych. I w żadnym czasie rabunek ten nie był większym, jak w r. 1863. Rabowano wszystko, a czego zrabować nie było można — niszczono. Z owych to czasów pozostała przypowieść: »Powstańcy po lesam, a my po myzam«.

Goniono, więc uciekano, szukano, więc się ukrywano i jedną z tych licznych kryjówek był ten wzgórek, zewsząd błotami otoczony.

Stary, przygarbiony, zawiędły, o wyblakłych oczach człowiek, któregom przypadkiem tu napotkał, zapytany przezemnie o dzieje tych leśnych mieszkańców, nie dał mi żadnej odpowiedzi. Może bał się?... I nic w tem nie byłoby dziwnego. Trwoga wówczas mroziła serca, deptała uczucie ludzkie i zamykała usta — aż do śmierci. Trwoga ta widać wżarła się w duszę jego, wsiąkła w krew, splątała się z życiem jego, a te wyblakłe, smutne oczy widziały zapewne wiele, wypłakały wiele...

I już nie pytałem go o nic.

W czasach owych, gdy naród pragnął się wyzwolić drogą krwawych ofiar, gdy w ogniu tych ofiar łączyli się mieszkańcy tej ziemi, napo-

tkać nie było można rodziny nie okrytej żałobą, ani domu, któryby nie był w nieszczęściu i ruinie. Zrozumiałem przeto, że i opowieść starca byłaby smutną i wspomnienia krwawe, a w tajniki duszy ludzkiej, któż, prócz Boga, zaglądać może?...

Z okruchów, tu i ówdzie zebranych, złożyłem ten obrazek — prosty, a w czasy one, codzienny.

* * *

Pewnego dnia jesieni stanęło na tem wzgórzu troje ludzi. Ktoś czwarty to miejsce im wskazywał i prowadził. Ich przybladłe twarze, obłocone i jednego z nich skrwawiona odzież, zdradzała zwykłych w czasach owej niedoli krajowej wędrowców. Jeden z nich był już siwiejący, lecz w pełni męskich sił i dwoje młodych.

Starszy z nich o napiętnowanej jakimś tajonym bólem twarzy, był przybyszem ze stron, do których już nie miał wracać po co: majętność jego zabrano na skarb, dwóch synów niedawno stracił w bitwie pod Rogowem, gdzie również zginął wódz oddziału — Wykładnik (Żukowski). Żonę dawno już pogrzebał. Pozostał więc jeden, samotny na świecie... Lecz najbardziej biedny i nieszczęśliwy człowiek ma swoich smutków i bólów ukojenie, jeżeli posiada wiarę — w jutro — w życie — w ludzi — w Boga! Czy wierzył on w te ideały ludzkości całej, czy były mu one dźwignią życia, potrzebą serca w te krwawe

dni?... Czy z tylu mogił i grobów wykwitał kwiat nadziei? Czy z tylu ofiar mógł być zebrany plon?... Czy te przyszłe młodzieńcze dusze zrodzone z krwi i łez, posiądą siłę wytrwania, moc pamięci i przekażą tę siłę i tę moc, a wkońcu tę miłość ojczystej ziemi dalszym następcom swoim?...

Czy wierzył?...

Pozostałym i ostatnim promieniem umierającej jego doli i doli narodu, tą jasnością, przedzierającą się przez nagromadzone cienie w duszy jego, była niespożyta przez burze i klęski krajowe, nie osłabła przez krew przelaną i przeciekającą przez wszystkie dni żywota narodu, wiara, że naród nie umiera, że Polska nie zginie, że Francya ją zbawi.

Wierzył on z całą ówczesną społecznością swoją w to jutro i całymi dniami, które przebyli z sobą w ukryciu, opowiadał młodym dzieje polskich legionów po wszystkich krańcach ziemi — dzieje ofiar nadludzkich dla odkupienia swojej Ojczyzny, poświęceń bez granic, które miały być wrzekomo wynagrodzone... Wierzył, ale ta wiara w całej społeczności polskiej już nikła i słabła. Budziła niegdyś wprawdzie nadzieje i obietnice, których dotrzymać nie mogła i — nie chciała; budziła do zmartwychpowstania dłońmi cudzemi, obcemi siły, odejmując wszelką wiarę w moc duszy narodowej, potężnej w samej sobie, czerpiącej w samej sobie siły własne — tylko własne siły...

Lecz że wszelka wiara bez uczynków martwą jest, że wszelkie teorye oderwane ku życiu nie zbliża, że wszelki indyferentyzm narodowy jest zgubą, że zwątpienie jest słabością i grzechem, a pogodzenie się z losem — zbrodnią; że uświadomienie samo bez ciągłej pracy w narodzie, jeszcze narodu nie zbawi; że potrzebny jest zawsze i wszędzie czyn — czyn ofiarny i poświęcenia, więc, gdy odeń tej ofiary zapotrzebował kraj, wyrzekł się domu i mienia i zabrawszy z sobą dwóch synów, stanął do walki — z wiarą w posłannictwo dziejowe swojego narodu i z wiarą w to, że naród jego będzie wolnym i szczęśliwym. Umierająca matka przekazała dzieciom tę ideę obowiązku, grzechem więc było przestąpienie nakazu, złożonego w głębi ducha ludzkiego, targaniem się przeciw konieczności. Więc, gdy ta ofiara spełnioną została i oddana narodowi krew pierworodnych — z wiarą już i spokojem czekał tego jutra, jeżeli nie tu — na ziemi, to już tam, w światłościach życia — poza grobem.

Dwaj młodzi byli to ludzie dwóch światów: — starszy — syn szlachecki, młodszy — syn ludu. Jeden z nich był ranny i ukrywał się, drugi uciekł z płonącej wioski, kiedy żołdactwo ją otoczyło i zaszył się w te błota i moczary.

I gdy dawniej rozdzielało ich stanowisko społeczne, kiedy nieraz w zetknięciu się z sobą pycha jednych, a niechęć i niewiara drugich odtrącała ich od siebie — dziś połączyła ich wspólna

niedola, zbliżyła wspólna krzywda, zjednoczyła krew — jednaka — droga — święta i — czerwona.

. . . .

. . . .

Była już jesień, nastały chłody i mgły i deszcze i wiatry — a potem przyszedł głód.

A puszcza zdawała się być bezbrzeżną, najbliższa osada daleka, a między ludzi iść brał jakiś lęk. Lecz najstarszego z kryjących się tu wędrowców ogarniał coraz większy niepokój, parła go gdzieś jakaś myśl nieukojona, jakaś potrzeba niezmożona, jakiś głuchy, żrący ból, ku tym miejscom, gdzie krew jego synów przelaną została, ku tym, rozkładającym się może już szczątkom krwi jego, ku tym zerwanym ogniwom życiowego jego łańcucha — gnała ta wieczna ku rzeczom minionym tęsknica...

Był człowiekiem!...

O świcie dnia ruszyli więc wszyscy w drogę.

Dzień był wietrzny, chmurny, szary. Przez drzew wierzchołki padał na ziemię blady cień, smutnie wiatr jęczał na tem pustkowiu, jakaś żałosna, sieroca skarga leciała po gałęziach bezlistnych drzew i tłum opadłych liści ich obwijał. Szli zwolna, przebierając się przez zawały, okrążając błota i moczary, unikając wszelkich ścieżyn i dróg. Szli przed siebie.

Po długim pochodzie rozświetliła się jakaś polana, zamajaczyło przed nimi siedlisko ludzkie,

do którego wysłano z pomiędzy siebie na zwiady. Wysłany wrócił wkrótce z drugim, biednym, jak się okazało, kątnikiem, z poblizkiej walącej się już chałupy.

Był to młody jeszcze człowiek, o schorzałej twarzy, o zbiedzonem obliczu, lecz wiała odeń jakaś prostota, szczerość, jakaś smutna życiowa dola. Miał schronienie, ale cudze, żył z pracy słabych rąk, miał tę chałupę, a w niej kilkoro drobnych, własnych sierót. Miał niegdyś krowę, ale tę zarżnął dla głodnych, zbłąkanych powstańców, a dla tych naszych, zbiedzonych ludzi poświęca ostatnią drobnych dzieci swoich karmicielkę — kozę.

Po paru tygodniach wypoczynku zmuszeni byli odsunąć się znowu w głusz leśną. Odchodząc wręczyli mu pieniądze, lecz ten ze łzami odpowiedział, że spełnił tylko swój obowiązek, że spłacił czem miał i czem mógł dług krajowi, bo sam będąc słabym i jedynym opiekunem drobnych dzieci, nie mógł iść do szeregów... I wtedy tylko zgodził się przyjąć, gdy mu wytłumaczono, że niemi będzie mógł wspomódz innych, kiedy doń przyjdą. Ciche, zapomniane bohaterstwo!

I znów ich otoczyła bezbrzeżna puszcza, już osędziała od szronu i mrozu, gdzieniegdzie pokryta już śniegiem i połyskującą taflą lodu — blada, umarła puszcza. I wiał jakiś surowy, mroźny wiatr w ich ciała słabo okryte i dreszczem wstrząsał spadające płaty śnieżne z drzew gałęzi

na ich głowy i grzebał, zda się, w swym lodowatym uścisku, te bujne, złote sny, te jasnych dni nadzieje, oblane krwią, wdeptane w błoto życia... Kiedy minęli sitowia i zarośla, przed nimi stanęły żałobnych drzew szeregi, te smętne jodły, jak mogiły, te zwisające ich konary, pochylone pod ciężarem śmiertelnych, białych całunów i jakby w niemej rozpaczy wyciągnięte ramiona ku tylu grobom...

Lecz wszystko ma kres swój.

U znajomego, uczciwego staroobrzędowca przebyli resztę zimy. Odryna była ich mieszkaniem, bo zima z roku 1863—1864, nie była śnieżną, ani mroźną. Sąsiedzi dostarczali pożywienia i tak przetrwali.

Nadchodziła wiosna, świeża i przezrocza, budziła się przyroda z zimowego snu; rozlały się wody, zakwitły błota i moczary żółtem kwieciem, unosiły się w górę z oparzelisk i trzęsawisk leśnych tumany i opary, jakby dymy z kadzielnic kościelnych, rozbrzmiewały jakieś szumy i pogwary mieszkańców puszczy (jakby dźwięki oddalonych dzwonów), budził się dotychczasowy szary świt różową zorzą, rozpalały się słoneczne blaski i kładły się na mogiłach poległych pocałunkiem życia...

Czasem zdala zbudzone wiatry niosły jakieś jęki, łkania, czasem mroki ogarniały świty, drzew gałęzie wstrząsały śmiertelne dreszcze — jakaś gdzieś toczyła się jeszcze przedśmiertna walka

ludzi, a może zwierząt, zbudzonych z zimowego mchów posłania.

Czasem w ponurym gniewie las zamiotał, zaszumiał, rozbrzmiał piorunną mową, jakby groził, lub kogoś przeklinał, za zmąconą jego ciszę, odgłosem bratobójczej walki; czasem płakała przyroda w rozżaleniu i tęsknocie za murawą zieloną, za złocistem kwieciem swojego łona. I z rozwijających się pąków drzew spadały krople jasne na to łono i wsiąkały tam tą łzą do tych zamarłych, męczeńskich grobów...

Czasem las milczał i zadumany spoglądał na tych tu u stóp jego ojczystego kraju tułaczy — zdawał się wsłuchiwać w dalekie odgłosy życia, tego życia pozbawionych, wyklętych niewolników... Ze śmierci snu budziła się przyroda właśnie wtenczas, kiedy naród konał i umierał!...

* * *

Na dworcu kolei w Kownie, stał przygotowany pociąg do odjazdu. W głębi jego stało wojsko pod bronią, poza niem szary tłum żegnających, składający się przeważnie z kobiet i dzieci. Tylko co przywieziono skazanych po konfirmacyi Kaufmana — wziętych z bronią w ręku — na śmierć, pojmanych bez broni na deportacyę do Wschodniej Syberyi. Pomiędzy tłumem skazańców, na uboczu, stały trzy znajome nam postacie: stargany bólem, siwy już mężczyzna, młody

szlachcic, w brodiażce i konfederatce na głowie i chłopak, który szedł do swoich — na Syberyę. Biedne matki, odgrodzone wojskiem, parły się naprzód, by swoich pożegnać, zanieść im błogosławieństwo, lub zawiesić krzyż Chrystusów na umęczonych ciałach; — czepiały się opłotków, wciskały w przejścia, zagrodzone lub odtrącone brutalną pięścią żołnierza. Po pooranych, zbrużdżonych twarzach, cicho płynęły łzy.

Wydano rozkaz do wyjazdu.

Tłum stojący zakołysał się, odkryły się głowy, ugięły kolana i po tem morzu ludzkich głów poszedł cichy, stłumiony jęk. Jęk ten, jak zmącone fale wód, rozszedł się kręgiem i uderzył o brzegi — na skraju którego stał młody oficer. Ten, ze łzą w oku, zwrócił się nagle do stojącej za nim staruszki, matki odjeżdżającego młodzieńca, która go chciała pożegnać, lecz naczelnik stacyi, Francuz, krzyknął głośno, że doniesie o tym postępku wyższej władzy i miłosierdzie młodego żołnierza spełnione nie zostało.

Starzec przy tych słowach zadrżał i ponuro zaświeciły mu źrenice, któremi uderzył w twarz Francuza. Żegnał on kraj, rodzinną ziemię, groby blizkich — swoich, ale przez nikogo nie był sam żegnany. Jedyny skarb, który w najgłębszych duszy swej tajnikach pochował, wydzierano mu w tej chwili w sposób tak brutalny — odbierano mu wiarę... Instynktem bezwiednym przycisnął do piersi swoich rękę, którą objął zawieszoną

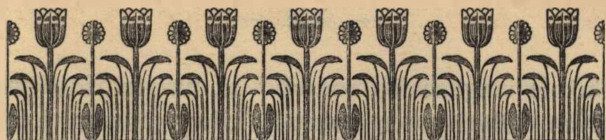
tam garść ziemi ojczystej — z ich grobu — jakby ślubował wierność idei narodowej — o własnych siłach — o własnej pracy — o własnym obowiązku...

A pociąg już się ruszył, odchodził, mknął gdzieś w dali, po przez roziskrzone dzienne blaski widniały dymy jak widziadła, wiała woń wspomnienia, czepiała się nić pamięci — i ten smutek śmierci, co otacza żyjące groby i tę ciszę grobów, która wstępuje w duszę człowieka, gdy już wszystko umiera, gdy już wszystko przeminie...

Szawle. 1908.

JEDNA Z WIELU

OPOWIEŚĆ Z R. 1863.



Krwawo zachodziło słońce za lasy, za bory, odbijając swe promienie na gromadzących się obłokach; w ponure i rdzawe ich wnętrza przeświecały zamierające już blaski, które z chwilą każdą mętniały i gasły. Czuć było zbliżającą się burzę.

Smutnie porykując wracało bydło z pola, wznosząc za sobą po drodze tumany pyłu, zaskrzypiał gdzieś żuraw wiejskiej studni, rozległ się w polu głos nawołujący do domów, ozwała się w pobliżu ligawka pastusza, zabrzmiał śpiew daleki dziewcząt wracających z pola, który milkł nagle, jakby zduszony wspomnieniem dni smutnych i krwawych.

Dzień się już kończył.

Na pochyłości wzgórza rozciągała się szeroko wieś szlachecka, zwana Pempie. Okolica była duża, mieszkańcy zamożni i butni, jak wszyscy laudańscy. Przylegała ona od południa do kompleksu innych wsi, zwanych ogólnie Sasami, osadników za czasów króla Augusta II i III, sprowadzonych z Saksonii i z szlachty dworskiej, zostającej na

służbie magnackich rodów i tu na starość osiadłych. Głuchy ten zakątek Litwy, błotami i lasami otoczony, choć wdzięczne posiadał widoki i żyzną glebę, dla obcych był niedostępny. Rodziła się tu i umierała owa rojna rzesza szlachecka, jedna z najdzielniejszych i najbitniejszych w kraju i ziemię przekazywała tylko swoim. Rodziły się przeto i charaktery jednakie, otoczone przyrodą wiecznie młodą, bujną i świeżą, wykarmione chlebem niw i mlekiem łąk, wykołysane jednako szumem tych gajów, co zalegały te ziemie i wdzięczyły się swą krasą. Mieszkańcy tych okolic, odgrodzeni od reszty świata, być może bardziej byli zacofani i prości, ale gorzały wielkim ogniem ich serca i dźwigały się od ziemi wielkie charaktery. Wprawdzie posiadała nasza drobna polska szlachta wiele nałogów i wad; czepiając się klamki pańskiej, oddawała nieraz sama siebie na usługi egoistycznego warcholstwa możniejszych klas — aż do zapomnienia czasem swego szlacheckiego honoru, ale w chwilach ogólnej potrzeby, w chwili burz krajowych, jakie nawiedzały naszą biedną Ojczyznę, stawała zawsze pierwsza w szeregach tej ziemi obrońców.

A ta ziemia żyzna i pachnąca rozciągała się tu szerokiem półkolem, aż hen — ku tym zielonym lasom, które stały nieruchomie w jakiejś wieczornej zadumie. W pobliżu przepływającego strumienia, w pewnem od siebie oddaleniu, wychylały się dworki pokryte słomą, otoczone sadami

pełnych grusz i jabłoni. Każdy dworek był umajony kwieciem pachnących groszków, gwiaździstych astr, pąsowych róż i skromnych stokrotek i niezabudek; rozścielała się pod oknami ruta zielona, ten polny mirt dziewiczy, zastępujący wielkiego świata pomarańczowy kwiat, zaglądały do okien ślazy i dziewanna strząsała swe żółte kwiatki na ziemię. Na gniazdach wyniosłych drzew klekotały bociany, rozlegał się świergot szarych wróbli, a nad całą wsią brzęczały roje muszek i komarów. Pszczoły strudzone robotą dzienną spoczywały w ulach i bąk tylko niekiedy lub chrabąszcz zahuczał gdzieś basem, lub upadł na trawę. Cudowna, już zapadająca w cień wieczoru, była okolica szlachecka, tylko dziś przez nią przemknął jakiś cień i wiało od niej jakąś ciszą, jakimś smutkiem i trwogą.

I nic dziwnego — tyle stąd, z tych okolonych zielenią dworków, poszło tam do tych lasów zielonych. Wprawdzie nie wszyscy szli z wiarą, z potrzebą serca i poczuciem obowiązku, bo w owe czasy budził się dopiero naród wtedy, zanim w ogniu walk i w morzu krwi on nie dojrzał. Kobiety nasze były więcej przygotowane do życia i ofiar, być może przez pewną intuicyę odgadywały potrzeby ideałów narodowych i jego bohaterów, o których słyszały niegdyś i znały z opowiadania starszych ludzi. Przywiązane do cichych domostw swoich, w których się urodziły i wzrosły, łatwiej przyswajały te skądś wiatrem

przygnane ziarna myśli, gromadząc w spokoju cichych zajęć swoich na przyszły siew w serca młodzieńcze — te myśli i wspomnienia.

Rok 63-ci, jeżeli jeszcze nie rozwidnił głów mieszkańców Laudy — znalazł już kobiety dojrzewające do świadomości obowiązków narodowych. Przyczyną tego była mała, drobna i uboga staruszka, która w tej wsi przed wielu laty, jako daleka krewna była osiadła. Ona była tą nauczycielką i przewodniczką. Ona od rana do nocy chodziła od chaty do chaty, radziła, nauczała i wskazywała niejako przyszłe obowiązki jej mieszkańców. Osiadła w najbogatszym dworku Limonta — zwanego Starym Janem, który straciwszy żonę został sam z córką młodą i chłopcem sierotą, którego przyjął do siebie.

A właśnie rok 63-ci już się zbliżał.

Niewiele było potrzeba — dość było ks. Mackiewiczowi ogłosić w kościółku w Podbrzeziu wici wojenne dla obrony kraju, a szlachta Laudańska i Saska powstała jak jeden mąż. Wychodzili wszyscy z chat i pozostali tylko starcy, kobiety i dzieci. Oni to opiekowali się powstańcami, dostarczali im pożywienia lub wieści ze świata.

. . . .

Na jednem podwórzu poblizkiej chaty stał wóz, zaprzężony w małego wiejskiego konika, do którego ostrożnie i jakby ukradkiem składano coś owiniętego w szmaty. Były to zapasy spi-

żarniane gospodyń całej okolicy, które wysyłano do obozu. Woźnica, stary już człek, napędzał co chwila do pośpiechu.

— Hej, hej! a nuże, a żywo, bo słońce już zaszło, a nim przez te wertepy człek przejedzie, będzie już ciemno, a wtedy i nie znajdę obozu, choć wszystkie przejścia i ścieżyny wiem — zrzędził stary, co chwila zatrzymując się i jakby nasłuchując czegoś. — I Bóg wie, gdzie go jeszcze znajdę — mruczał do siebie.

— Od Limontowej granicy, powiadał Antek, przy tej polnej gruszy mieli się zebrać — odpowiedziała dziewczyna z sąsiedniej chaty, która przyniosła kosz naładowany mięsiwem i chlebem.

— Od Limontowej granicy, aha! abyś tam przyszła pogzić się do obozu, wiem wiem — ofuknął stary. — Ale czy ty wiesz, co to jest Limontowa granica?

— A już — niepewnym głosem odparła nadąsana dziewczyna — i Bartek powiadał to samo i Maciek i Józiek — ot co!

— Phi, phi, aż tylu — odburknął stary Jan, ale dalsze słowa przerwał zdala dolatujący huk.

— Zbierze się na burzę widać, a to i dobrze, bezpieczniej jechać będzie można.

— A no, hej wy dziewuchy, otworzyć wrota! Pies podwórzowy posunął się był naprzód przed gospodarzem, ale stary Jan go zatrzymał.

— Zostań tu Burek! Ciebie tam nie potrzeba, zostań — i pogłaskał go po głowie.

Pies stary, kudłaty, popatrzył mu w o jakby pragnął się porozumieć, ale na dany znak przystanął, zakręcił się w kółko i u wrót położył.

Stary Jan wziął lejce, zdjął czapkę i pobożnie się przeżegnał. A potem splunął w garść, machnął biczem w powietrzu i wyjechał za wrota.

Pozostali w milczeniu patrzyli za odjeżdżającym. Ten i ów stanął na płocie, wodząc za nim oczyma. Stara, przygarbiona kobiecina zrobiła w ślad znak Krzyża świętego; wkrótce człowiek, wóz i koń zniknęli w wieczornym mroku.

Wtem zdala doleciał do wsi jakiś przeciągły, głuchy huk, który się powtórzył. I długo ten odgłos toczył się w przestworach i kręgiem szerokim szedł po wioskowych sadybach. Z chat tu i ówdzie wyjrzały twarze i cichy, trwożny szept poszedł pomiędzy niemi. Wiedziano, że partya zapadła gdzieś w poblizkich lasach, że tułały się oddziały wojsk, więc ten odgłos daleki pochodził może stamtąd, gdzie w mrokach nocy wre walka i toczy się bój śmiertelny?

I naraz ucichło, lecz za chwilę pomruk burzy, czy odgłos walki powtórzył się znowu, a w sercach wsi tej mieszkańców odbił się trwożnem echem.

Jak ze wszystkich dworków i okolic szlacheckich, tak również i tu wyszły do powstania młodzieży całe szeregi. Było coś wielkiego i świętego w tym nakazie obowiązku, który wprawdzie może jeszcze jako nić pajęcza czepiał się serc

ludzkich, ale pomimo tych nikłych zda się i drobnych niteczek jego, rozścielał się po całym rodzinnym kraju. I z tej wsi oddano na ofiarę dzieci ojców, którzy dziś w smutnej zadumie u opłotków stali, wsłuchując się w te głosy, dopływające do nich zdala — dzieci tych matek, które ze łzą w oku cichy szepczą pacierz może już gasnącemu życiu...

Ciemniało. Nagromadzone obłoki rozpełzły się po całem niebie, sunęły się w górę, łączyły z innymi, osnuwając kirem błękity nad głowami zawieszone, a tam w dali coraz groźniejsze odzywały się poryki nadchodzącej burzy.

Naraz z różnych stron ozwało się dzwonienie i rozszedł się zapach palonych ziół. Był to zwyczaj, zachowany do dziś dnia na Litwie, że w czasie burzy obchodzono budowle gospodarskie z dzwoneczkiem Loretańskim, który miał strzedz od pożarów i obnoszono wonne, polne zioła zapalone, na które się składały: palmy kwietniowe, wianuszki poświęcone w dzień Bożego Ciała i zwykła ogrodowa »bielica«. Dzwoniły dzwoneczki w rękach staruszek pochylonych i szły wonne dymy ku niebu na przebłaganie gniewu Pańskiego.

Z poblizkiej chaty wyjrzała dziewczyna i drżąca, wsłuchana w te idące skądś poszumy, przystanęła w progu. Urodziwa i giętka, jak trzcina, pochyliła się naprzód, łowiąc uchem i wchłaniając idące od dalekich pól i lasów odgłosy. Lica jej

były blade, lecz oczy płonące i pełne fosforycznych blasków, utkwione w dal, szły ku tej nadciągającej nawałnicy przyrody czy ludzi. Jej biała koszula świeciła w nasuwających się ciemnościach jak widzenie, jej szept trwożny, wtórzył zda się podrywom wiatru, który się zrywał, a serce jej dziewicze i kochające biło jakby w takt uderzającym tętnom wichru, burzy, czy walki.

Coraz bardziej mętniały przedmioty, coraz stawało się ciemniej i szedł przez świat szum jakby morskich fal uderzających o brzegi.

Naraz straszna, przerażająca jasność ogarnęła niebiosa i padł grom, a za nim drugi. Zapłonęło niebo całe, zawył wichr, zahuczały pioruny i spadły na ziemię wód potoki. Młoda dziewczyna, drżąca, wsłuchana, wpatrzona w ciemność bez końca, nie czuła — zda się — ulewy, w której się kąpała i nie słyszała tych grzmiących głosów burzy, a oczy jej jeszcze goręcej, jeszcze jaśniej świeciły w ciemnościach nocy, zda się, zabrały tym błyskawicom ich jasność i potęgę.

Bo ona oczami duszy i siłą przeczucia widziała inną burzę tam — w leśnych mrokach; ona tam była przytomną i obecną... W jej duszy gorzały ognie tej walki i huczały pioruny tej burzy; ona ogarniała swym wzrokiem te dalekie ciemne przestrzenie i wbijała się w nie, w tę noc oświetloną ogniem błyskawic; ona w nieświadomości wypadków, rozgrywających się tam w głuszy leśnej, czegoś czekała — zmartwiała, niepo-

ruszona... Minęły długie chwile. Burza szalała i roznosiła jęk rozpętanych żywiołów, jakby wtórzyła tym krwawym zapasom dwóch potęg, dwóch sił, które stały naprzeciw siebie — jedna zbrojna, a druga ufna siłą ducha...

Ale burza mijała już i czasem tylko błysnęło jeszcze gdzieś w dali i zgasło, zagrzmiało i zcichło.

Dziewczyna stała w miejscu, nie czując chłodu, który dreszczem ją obejmował, ani wilgoci, którą cała przesiąkła. Czekała czegoś — jakichś zapewne wieści stamtąd — od lasów deszczem jeszcze omglonych, ciemnych i wilgotnych.

Wtem zawarczał pies u progu skulony.

Dziewczyna położyła rękę swą na jego głowie i pies ucichł. Po rozmiękłej od deszczu ziemi, po której płynęły wody, słychać było jakiś chód prędki, pospieszny i nagle z za płotu wynurzył się jakiś cień i stanął w miejscu niepewny, czy ma iść dalej.

Pies warknął po raz drugi i rzucił się naprzód. Dziewczyna tknięta złowrogiem przeczuciem, porwała się z miejsca i do wrót podbiegła.

— Józiu — przemówił głos niepewny i drżący— to ja. Józiu — to ja — Franek.

— Skąd, dlaczego — jedno po drugiem cisnęły się pytania na usta dziewczyny. — Dlaczego tyś tu wrócił? A reszta? a Janek, a Antek, a Karol, gdzie oni? — zrywały się słowa z ust dziewczyny.

Franek ciężko odetchnął i stał u wrót jakiś trwożny i smutny.

— Józiu — wyjąknął — jam tu wrócił... bo tam krew się leje, a ja nie mogłem... nie mogłem Józio i uciekłem z pola walki — do ciebie... Zmiłuj się nademną Józiu droga — ja tam nie mogę... ja boję się tej męki na wygnaniu, gdy pojmą mię w niewolę, ja boję się tych taczek, do których mię przykują, ja — boję się śmierci...

Dziewczyna stała przed nim prosta, wysoka, wyniosła jak trzcina. Pierś tylko jej zadrgała kurczowo, jakby łkanie przez nią przedrzeć się chciało, a nie mogło, ramiona tylko podniosły się i głos jakby zduszony, ochrypły, nagle załamał się...

Czy ona kiedy myśleć mogła, że przyjdzie taki dzień, że przyjdzie taka chwila jak dziś, jak teraz, że on, którego ukochała sercem całem, ją zawiedzie i pójdą na marne i rozwieją się z dymem te wzniosłe przykazania miłości ojczystej ziemi, które tchnęła w niego — przykazania, które przelała w jej duszę uboga, trzęsąca się, przygarbiona staruszka, która kończyła w ich chacie wiek swój, przygarnięta miłosierdziem, a otoczona dziś czcią i miłością — matka zaginionych, poległych synów w życiowej burzy?... Czuła tylko, że jej pierś przygniatał głuchy ból, że zamierała dusza jej rozbita, że na jej usta wyrywały się słowa buntu, lecz przez nie wyjść nie mogły...

On stał z głową pochyloną, taki nędzny, mały i — nikczemny, a ona patrzała na niego z ja-

kimś bezbrzeżnym smutkiem i tajoną pogardą... Fale różnorodnych wspomnień i uczuć przelewały się przez jej duszę i przypłynąwszy ku brzegom cofały się napowrót: fale te parły i rozpierały jej łono, zostawiając na brzegach jej duszy swój osad — swój ślad...

Czy spodziewała się ona takiej chwili?...

I przed nią stawała niedawna przeszłość wspólna, jasna, promienna, a dziś taka smutna, krwią ociekająca, burzą rozwiana, wspomnieniem gniotąca, poszarpana, zdeptana... I gdzież jej sny i marzenia, któremi się karmiła jej dusza młoda, przygotowując się do przyszłego życia? I gdzież te promienne życiowe szlaki, te drogi obowiązku, przez które wieść miała przyszłych pokoleń znieprawione dusze — zatruwane serca?... A teraz — a dziś — po co, na co, dla kogo potrzebne to wszystko!

W wiekowej walce naszego narodu tyle spłynęło krwi i wsiąkło w ziemię, tyle podniosło się skarg ku górze, że jedna łza więcej, czy mniej, że jedna skarga więcej, czy mniej, że jedna kropla krwi więcej, czy mniej — dziś wszystko jedno. Bo tam, we wnętrzu tej ziemi, naszej rodzicielki zgromadzono tyle życiowych zasobów, że wystarczy, jeśli tego będzie potrzeba, na cały drugi wiek nowych pokoleń; że tam, w łonie tej ziemi tyle ciepła i żaru, że zdolnem będzie ogrzać i stopić podniebne góry lodowe biegunów duszy ludzkiej i tyle miłosierdzia dla wątpiących, upa-

dających, upadłych, że błąd spełniony w chwili duchowej niemocy przebaczonym zostanie; bo naród w ciągłej walce życiowej wytoczył ze swego organizmu tyle krwi, że czasem jej braknie, że niekiedy jej nie stać na czyn wielki i ofiarny u jego umęczonych synów...

Lecz z drugiej strony, pogrążona w bezwładzie zadumy, myślała ona, że gdy nowe pokolenia do dziejowego dorobku ojców swoich w niczem się nie przyłożą — jego zasobów nie wzbogacą, cóż zostanie wkońcu we wnętrzu jego, z którego życie czerpie codzień siły narodowi potrzebne?...

W co się obróci jego potęga i chwała...

Całe dzieciństwo jej — snuła swe myśli dalej — zostawała pod opieką tej cichej staruszki, która ją uczyła pacierza i pracy, cała młodość jej przeszła w uświadamianiu swoich obowiązków i może życie całe przejdzie w walce, w poniżeniu, w niedoli — a jednak rozumiała, że siebie na ołtarzu tych ofiar poświęcić powinna i zapalić stos, aby oświecał dusze ludzkie, ogrzewał je, budził, podnosił i te dusze prowadził. Rozumiała, lecz w tej chwili nie starczyło jej tyle zasobów miłości, aby rozwiązać tę zagadkę duszy ludzkiej, która stała przed nią. Bo na zrozumienie obowiązków potrzeba widać długich lat i z pokoleń wielu, a więc i dziś nie wolno opuszczać paciorków życiowego różańca — ani jednego jego paciorka, choćby się on przemie-

nił w kroplę krwi... bo posiew na ojczystej niwie ma być zawsze spełniany czystem, bujnem ofiary ludzkiej ziarnem...

Czy spodziewała się ona, że to ziarno przez niego w tę rolę ojczystą wrzucone nie zostanie? Nagromadzone uczucia w jej duszy i myśli w jej głowie tłukły się z sobą, zwierały się, walczyły — wydzierały się na zewnątrz. Od głębin jej duszy tych mocowań się z sobą szły opary, podnosiły się w górę i szły — w świat.

Spojrzała przed siebie jakby budząc się ze snu.

Od łąk i pól po deszczu wstawały mgły i zasłoniły przed nią krajobraz ten daleki. Wstawał omglony świt. Ze zwieszonych liści spadały krople, oślizłe drzewa stały nieporuszone i jakby martwe, rozlane kałuże świeciły mętnem swem obliczem, a od pól już rozdniewających wiał jakiś przedporankowy chłód. I jej duszę również otulały mgły i wjadały się w nią dreszczem i chłodem śmiertelnym.

On dotąd jeszcze stał niemy i nieporuszony, a w jego duszy głębinach staczała się śmiertelna walka człowieka z samym sobą. Bo wobec tej ukochanej dziewczyny, której postać łamała się w bólu, spełniony przez niego czyn stanął w całej swej ohydzie i uczuł dopiero teraz co uczynił i pojął czem się stał w oczach ukochanej. Wstyd krwią gorącą pokrył jego pobladłą twarz i jakby pożogą rozlał się w jego wnętrzu.

— Józiu — Józiu — ozwałsię cichym głosem — Józiu, już pójdę, tak, już pójdę tam — do swoich, bo tu niemam już nikogo... Jam sierota przygarnięty przez twoją rodzinę — jam prosty syn ludu, wyrosły w chacie szlacheckiej, otoczony waszą opieką na równi z tobą i przez ciebie braterską miłością — ja, przybłęda z dalekich stron, nie zrozumiałem swojego obowiązku, który wam za waszą opiekę oddać powinienem. Nie zrozumiałem jako syn ludu, że naród cały — jak mię uczono — to my, lud i szlachta i panowie — to jedno, to wspólność, a ten kraj — roztworzył swe ramiona — ta ziemia — to nasza ojczyzna. Ją kochać, ją miłować, ją bronić wszystkim nam potrzeba. Nie rozumiałem, nie pojmowałem jeszcze i dziś zaledwo otworzyły się oczy moje...

— Józiu moja, więc przebacz i mię przeżegnaj — bo już odchodzę; niech obraz Twojej męki idzie wraz ze mną — tam, choćby do mogiły — tylko że ja — nieszczęsny nie chciałem tam umierać, nie widząc ciebie choć raz jeden — choć na krótko — choć tak... — lecz już nie mógł dokończyć.

Dziewczyna krzyknęła. Krzyk ten rozległ się wokoło, zbudził staruszkę, która się słaniając wyszła na dziedziniec. Pies Burek, który spał snem twardym, zbudził się także i zagdakały kury na strychu chaty.

Po twarzy dziewczyny płynęły łzy... Przysłoniwszy oczy, staruszka szła na ten głos, który

w jej duszy obudził jakieś uśpione, zamarłe echa i odnalazłszy dziewczynę przystanęła zmęczona. Zawiędła, wiekowa była to staruszka, jej twarz poorana w bruzdy, śladami łez wylanych, była jakaś spokojna i pogodna, jej oczy patrzyły już w zagrobowe światy i głos cichy i modlitewny sączył się przez zaciśnione i bezzębne usta jakimś cichym szmerem zamierającego życia.

Rzedła pomroka nocna, świtało już i blask ten budzącego się dnia padł na twarz staruszki, otaczając świetlistym kręgiem obudzoną dalekiem wspomnieniem jej postać.

— Płacz, płacz dziecko moje — ozwała się zwrócona ku dziewczynie — wypłacz gorycz serca, wypłacz ból, tę gorycz rozlej po ziemi, ten ból wszczep w dusze ludzkie, niech w tej goryczy się kąpią, niech się nurzają w tym bólu, aby przyszłe pokolenia wyrosły dzielne i hartowne. A gdy przyjdzie śmierć, gdy nadejdzie zgon — to i cóż — sił narodowi zawsze jest potrzeba...

— A ty — zwróciła się do chłopca — z czułością gładząc go po głowie i błogosławiąc — idź! a jeżeli bez niej żyć nie umiesz, lub nie możesz, to umiej umrzeć dla niej...

Zafruwały już wróble i jaskółki, zatrukały i podniosły się z pod strzechy gołębie i śpiew skowronka unosił się w mgłach poranku. Powiał wiatr od pól i sadów i z oddali zabrzęczały kosy..

Dziewczyna w śmiertelnej męce podeszła do niego i ręce jej objęły twarz smutną i kochaną.

— Franuś mój — szeptały jej usta — Franuś mój — przebacz mi, alem ja urosła w przykazaniu miłości swej ziemi... Ta cicha matka nasza i opiekunka tyle razy opowiadała nam dzieje naszego narodu, jego smutki i łzy, że, gdyś wrócił tu dziś, zakrzepło wielkim bólem serce moje i rozległ się głęboki rozpaczliwy głos duszy mojej, — bom sądziła, że ty — żeś mój serdeczny, ukochany tą kroplą krwi czerwonej uszlachetnić zdołasz pochodzenie swoje... jak chcieli i pragnęli całej wsi ojcowie, którzyby innego do swej społeczności szlacheckiej nie przyjęli: że tą kroplą krwi przelaną w obronie kraju mię poślubisz — na życie, czy na śmierć...

Młody chłopiec wyciągnął ku niej rękę.

— Żegnaj mi — żegnaj Józiu droga — ozwał się raz jeszcze krótki szept i wszystko umilkło.

On odchodził, zanurzał się w nierozwidnione jeszcze mroki. Postać jego zacierała się, malała i — znikła...

Franuś szedł przed siebie, nie pamiętając gdzie jest i dokąd idzie. Wszystko przed nim szło w zawrotny taniec, łamały się w duszy cienie, wstawały jakieś światła, budziły się jakieś myśli, obrazy... Nagle zatrzymał go i zbudził jakiś głos: »Kto idzie?«. Franek poznał głos starego Jana. Stał on z wózkiem, zaprzężonym w małego konika, pod drzewami, chroniąc się od ulewy.

Stary poznał go, a koń, poczuwszy swojego, cicho i radośnie zarżał.

Franek podszedł do swojego opiekuna. Wezbrało w nim, coś mu tam w jego wnętrzu rwało się, coś mu tam w piersiach wyło — aż nie mógł dotrzymać. Osunął się przed nim na ziemię i objąwszy nogi jego — zapłakał. Płacz cichy w początku przeszedł w głośne łkanie i stary Jan, wyczuwszy jakiś wielki ból w jego duszy, przygarnął go do siebie, położył swe drżące ręce na głowie jego i mówił cicho:

— Wiem, wiem skąd idziesz, lecz nie powiem nikomu. Źle spełniłeś chłopcze swój pierwszy obowiązek, bo każdy człowiek w życiu powinien oddawać każdej sprawie całego siebie — nie przez pół — a tyś przy pierwszej próbie siebie przepołowił i najlepszą swą cząstkę — miłość, dziewczynie zostawił. Nie dziwię się tobie, nie, stary Jan widział dużo w swem życiu. Był on na wozie i pod wozem, walczył w 1831 r. pod Dębińskim — poszedł z nim razem za granicę, tułał się długie lata po Europie i wrócił do swoich już u schyłku dni, bo nic ojczystej ziemi zastąpić nie może i — swoich. Stary Jan żył wiele i dlatego wie wszystko i rozumie wszystko. Ale pamiętaj, że mnie wkrótce zabraknie, bo czas do mogiły kości złożyć na spoczynek, a więc każdy inny, gdy jego już nie będzie — ciebie potępi i tobą pogardzi. Przyjąłem cię małego do swojej chaty, wychowałem cię, byłeś

mi wiernym, dobrym synem, znam cię, widzę twą duszę czystą ale słabą wolę, a chcę, a pragnę ją wzmocnić, zahartować na przyszłe losy. Idź ze mną do obozu, dokąd jak widzę wracasz — ja cię wytłómaczę, ja przed tobą samym cię obronię, bo starego Jana znają wszyscy i wierzą mu wszyscy... Wiem — wiem mówił jakby do siebie i to pamiętaj, że wartość życia ludzkiego mierzy się jego walką — jego trudem — jego zasługą, że przez nią wszystko zdobyć można — i ją — dokończył z cicha.

Ranne opary podnosiły się ku niebu z błot i łąk okolicznych, drżały liście od spadających kropel, któremi były obciążone. Od mrocznych głębin lasów szedł jakiś smutek i po przez zgęszczone mgły blady dzień przezierał, a Franek jeszcze klęczał u nóg starego Jana. Pierś jego gniotło uczucie niewysłowione i ból i radość zarazem, a przed oczami jego duszy zmieniały się kolejno i mroki i świty i wrzało coś tam w duszy jego głębinach. Pragnął on i dzisiaj żyć — ale dla niej, ale w niej a przez nią dla tych tu swoich, o których mówił stary Jan i drżące ręce wzniósł ku szarzejącemu już świtaniu.

Wózek toczył się powoli, omijając błota i kałuże, potrącając o korzenie drzew, a Franek szedł za nim. Znał całą okolicę dokoła i w tem samem miejscu, przez które przejeżdżali, nieraz siedział on, oczekując ulubionej Józi, która tędy szła na orzechy, lub po jagody. Gorzało serce

Franka, ale uczepić się u drugiego jeszcze ono nie mogło, a chociaż stosunki na wsi młodzieży płci obu wszędzie są dość swobodne i konwencyonalizm klas wyższych do nich jeszcze nie przeciska się — jednak nie miał on śmiałości spojrzeć prosto w jej oczy, a cóż mówić aby ją kiedy objąć ramieniem. Była taka wyniosła, dostojna, taka zręczna i gibka jak trzcina, jej oczy gorzały fosforycznym blaskiem i zdały się świecić w ciemnościach — gdzież więc do tej królewny biednemu Frankowi się dostroić?...

W szałasie na prędce skleconym zbierała się gromadka wiernych na modlitwę, gdy wózek starego Jana wtoczył się na polanę. Był to zwyczaj, przestrzegany w obozie wszędzie na całej ziemi naszej, że co rano i wieczór, jeżeli nic nie stawało na przeszkodzie, śpiewano albo pieśni nabożne, albo godzinki. A że na dziś przypadła niedziela, więc nie zważając na ranną porę i na odbytą walkę, która trwała krótko, bo burza rozegnała walczących, kilkunastu zebranych »panów braci« śpiewało pieśń tak dobrze wszystkim znaną: »Zawitaj Pani Świata«...

Głos ich stłumiony i cichy nie unosił się w górę wraz z skowronkiem, nie rozbrzmiewał nadzieją, szedł tonąc w okolicznych mokradłach, zapadając w leśną głusz, którą zewsząd obóz był otoczony. Głos modlitwy załamywał się, podnosił i znowu cichł i gasł. Czasem tylko śpiew

chóralny szedł górą, gdy dusza zapłonęła goręcej, lecz znów słabł i rozwiewał się...

Franek witany, rozpytywany, chodził po obozie, rozglądając się dokoła.

Obszedł paru poległych, ubranych w zieleń i kwiaty leśne, jak oblubieńcy do weselnego ołtarza i wszystko zdało się mu innem niźli było przedtem. Lękał się on walki, a tu był spokój śmierci, widział przedtem śmierć, tu zaś w tej śmierci — jakby przeczucie zmartwychwstania... Tysiące splątanych myśli snuło się mu po głowie, których swoim umysłem pojąć nie mógł, ani przeczuć, ani zrozumieć. Uczuwał tylko, że stało się coś — jakby wskrzeszenie jego duszy...

I pochylony nad rozkopanym dołem wchłaniał w siebie ten zapach ziemi, której był synem i widział, jak szedł Antychryst przez świat, a gdzie on stąpi, tam trawa już nie rośnie, dzieci w płaczu się zachodzą, aż do śmierci, młodzi padają, jak kwiat podcięty kosą na zagonie, mężowie idą na wygnanie, niewiasty na srom, a starcy do mogiły...

. . . .

Tymczasem tam za lasami budziła się okolica szlachecka, z poza mgieł poranku ukazywał smutne swe oblicze wstający z łoża dzień, szarzały w dali kontury lasów i wsi przyległych, ozwał się głos pastuszy, nawołujący konie na pastwisku i zadymiło ognisko gdzieś w chrustach.

Powoli ze snu budzili się mieszkańcy, wraz z nimi wstawała troska dzienna. Tu i owdzie ozwały się głosy, rozpełzały się dymy z zapalonych ognisk po chatach, tu i owdzie zaskrzypiały żórawie studzien i powoli senne wychodziło bydło na pastwisko.

Coraz jaśniejszy wstawał dzień, zaróżowiło się niebo od wschodu, zrzedły nagromadzone obłoki i życie codzienne ludzi poczynało się znowu, — jakby nie było ani burzy, ani walki, ani ofiar, ani krwi...

* * *

Wiało już chłodem, zwiędłe liście opadały z drzew, szronem pokrywały się łany i coraz smutniej i coraz puściej było w kraju. Szły partye skazańców jedne po drugich tam na Wschód, tłum ludzi pędzono z ojczystej ziemi do krajów dalekich i nieznanych, skrzypiały martwe drzewa śmiertelnych wyroków i echa kaźni roznosiły po kraju smutek i żałobę. Dzień był pogodny, lecz chłodny, świeciło słońce, lecz ciepłem już nie grzało, snuło się jeszcze po polach przędziwo Matki Boskiej, jak lud nazywa pajęcze nici jesieni, rozlegały się w opustoszałym kraju żółte ścierniska i szare niwy wsi Pempie, które przeorać nie było już komu, ani w ich łona wrzucić przyszłego plonu ziarna...

Ostatni wóz wyjeżdżał z rodzinnych siedzib —

w świat, bo okolica cała, z wyjątkiem paru dworków, spalona została — ziemię oddano starowiercom, a dawni mieszkańcy skazani zostali na wygnanie.

I żegna odwiecznych ziemi tej mieszkańców, na długą drogę, jedyny na wzgórzu pozostały krzyż, stojący u wrót chaty, ubrany w więdnące, zeschłe kwiecie, a na nim wisiał Umęczony. Przed tym pozostałym od pogorzeliska krzyżem klęczała gromada wygnańców... starce, kobiety, dzieci... Nie wszyscy szli w świat. Staruszka ze dworku Limonta dojrzałym kłosem już legła na wioskowych mogiłkach. Urosła z prochu ojczystej ziemi, tejże ziemi oddała szczątki swoje. — Szczęśliwa! — Stała się znów prochem i podścieliskiem nowego życia...

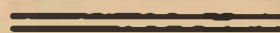
Pozostał stary Jan i Józia. Stojąc pod krzyżem, ponury wzrok wbił on w twarz Umęczonego. — Znał Go z dziecinnych lat i przed Nim modlił się w dniach smutku, lub pokusy i przed Nim nieraz duszę swą otwierał. Pamiętał on te czasy dawne swojego tułactwa, a potem powrót do rodzinnej zagrody. Ten sam co dzisiaj wisiał Chrystus na krzyżu, do Niego kiedyś wracał i odeń dziś odchodził. Ale tu podniósł głowę, — choć idzie w dal i już nie wróci, lecz przyjdą inni i ponad nimi ten wbity w rodzinną ziemię krzyż przyświecać znowu będzie przypomnieniem, wskazywać obowiązkiem, a rozciągać się nad krajem błogosławieństwem i opieką.

Józia stała cicha, cierpliwa, wytrwała. Jej dumna i wyniosła postać prężyła się ku niebu, jej wzrok, pełen fosforycznych blasków, błądził po spalonej wsi, chłonąc w siebie zapach spalenizny, który się jeszcze rozchodził, jakby napoić siebie chciała gniotącym pierś jej bólem, jakby wyzywać chciała na nową walkę, na nowy bój i szukać nowych dróg męczeństwa i dalszych życiowych szlaków, jakie się słały tam, przed nią — na obczyźnie. Wiedziała, że Franek poszedł wraz z innymi do ciężkich robót, przeczuwała, że może jeszcze gdzieś go spotka — choć w podziemiach; przez krótki czas jeszcze bardziej zmężniała duchem, nie przejednana, nie ugięta...

Ta chmurna przyszłość ją nie straszyła wcale; jej dusza kobieca wierzyła głęboko, że wszystkim ciężkim chwilom narodu przyjdzie kres i, że świtanie wstanie znów nad krajem i na życiowych niwach zakrząta się znów mrówcza praca nowych pokoleń, i że te dziś odłogiem leżące niwy przeora rodzinnej miłości pług i nowem zasieje ziarnem. A na czele tych mrówczych rzesz pójdzie niewiasta polska i świecić będzie tym tłumom, swem ciepłem ich ogrzewać i podnosić i oświecać i nauczać...

Pogodne niebo wlewało w jej duszę otuchę i nadzieję. I stała przed nią i przed tym idącym za nią tłumem cisza uroczysta, a w tej ciszy zdala dopłynął jakiś głos, dzwonów rozkołysanych, głos, który szedł ku nim — na pożegna-

nie. Z dzwonnicy poblizkiego kościołka w Pacunelach, płynął on po przez świat, swym metalicznym dźwiękiem wtłaczał się w wędrowców dusz tajniki i wnosił tam wiarę, hart i moc... I szły te tłumy, skrzypiały wozy, mętnie świeciły bagnety eskortujących żołnierzy, a w ślad za nimi biły dzwony — śpiżowe dzwony...



Z POZA GROBU

(Z 1863 ROKU)



»Anioł Pański Zwiastował Pannie Maryi« — roznosiło się pod sklepieniami świątyni jakimś smutnym i uroczystym dźwiękiem. Głos ten przychodził zda się z daleka, jakby z zaświata, biegł ku szczytom, łamał się we framugach kościelnych, rozdwajał się i znów się łączył w jakiejś powodzi tonów. Z zakątków kościoła, w zapadającym mroku, wysnuwały się widma zolbrzymiałych cieni, szły stamtąd jakieś grobowe tchnienia, jakiś cichy szelest, jakby rozsypujących się kości zmarłych pokoleń, a w śpiewie, który zacichał, to znów się podnosił, brzmiała prośba, leciała modlitwa ku wyżynom, ku sklepieniom wiekowym, ku przestrzeniom, tam, poza murami kościoła rozciągającym się. Śpiew szedł górą, płynął jękiem i skargą i unosił się w powietrzu tchnieniem dusz zebranych w świątyni.

We wnętrzu kościoła, na wzniesieniu, stała trumna biała — grób ubogi.

Mieścił on w swych cichych i ciasnych ścianach szczątki kobiety — jednej z tych wielu w czasach owych — żon i towarzyszek zapo-

mnianych bohaterów, a matek legionu męczenników...

Kładły się one, jedna po drugich, na śmiertelny wypoczynek po trudach życia, pozostałe na świecie, smutne, biedne, opuszczone. Na ołtarz Ojczyzny oddawały one krew swą serdeczną, swoje szczęście rodzinne, swoje życie. Przy dogasającem ognisku domowem, zostawały nieraz jedne na długie dni, na ciemne noce i nie było do kogo swą sierocą przytulić głowę i nie było nad kim wyciągnąć opiekuńczych, matczynych rąk, bo wszystko było albo w mogile, albo na wygnaniu, albo na tułactwie. Kraj był pusty, kraj był smutny, martwy i było tak wszędzie i ze wszystkimi. Więc i żyło się tylko z dniem, który przemijał bez jutra i kładło się do grobu z pamięcią o ciężkich dniach minionych.

Przed tym grobem, przed tą trumną cichą i ubogą, z głową ku ziemi pochyloną, klęczała dziewczyna. Z oczu jej płynęły łzy. Bo tam, na górze, na wysokościach, w światach jej nieznanych i dla niej niedostępnych, spoczywała snem wiecznym uśpiona matka.

— Matka! Co za święte i szczytne imię!... Na wysokościach królowała ona — w śmierci, bo za życia — na ziemi była tylko służebnicą i źródłem niewyczerpanem ofiar i poświęceń...

Była matką — t. j. była tym jasnym promieniem rodziny, co budzi do życia i zachęca do czynu; była pierwszą przewodniczką i nauczycielką

obowiązków — tych cichych obowiązków życiowych, o których milczy świat, nie wiedzą ludzie, zapominają dzieci... koiła ból i głód duszy i głód ciała — była sumieniem narodu.

I szła często przez świat sama jedna... Ulicami wielkich miast i małych miasteczek, ścieżynami wiejskich dworów sunęły się te zawoalowane postacie, obleczone w czarne kiry — matki synów, którzy odeszli i wdowy... Szły, chociaż z trudem, bo żałoby dawniej nikomu nosić nie było wolno, choćby po krwi najdroższej. Płacono za to nawiązką, — a nie, to i tak zdzierano poprostu żałobny ubiór wdowi. Idą te postacie i dziś jeszcze, kiedy brutalna ręka już nie sięga po welon smutku, idą w modlitewnem skupieniu, przez życie, przez świat — do swoich...

I od niej odeszła niegdyś światłość życia i szczęście i kochanie. Mąż jej na polu owej krwawej, strasznej bitwy, pod Madejkami, legł bohaterską śmiercią w obronie sztandaru, który w ogólnym popłochu, jeden ocalał tylko, podchwycony przez synów, co stali u jego boku; a dzieci zesłane zostały do katorgi — na Sybir, przekazując chorągiew narodową tym, co uszli z pola bitwy, tym, co pozostali w życiu... Kobieta została sama. Lecz w parę miesięcy po śmierci męża przyszła na świat córka — dziecię grobu. Miała więc cel życia, ale brakło jej na życie, bo zabrano jej wszystko, co posiadał mąż: i dworek z sadem z kawał-

kiem gruntu i sprzęty domowe i wszystko co jej było pozostawione.

Napróżno prosiła władze, aby małemu dziecięciu nie odbierali kęsa chleba, lub dachu nad głową — napróżno. Wprawdzie po długich staraniach, — przeznaczyli dziecku coś — ale dać nie dali. Każdą więc razą zmuszona była chodzić po rozmaitych urzędach, przenosić cierpliwie i w milczeniu urągania i naigrawania »czynowników«, bo wszyscy utrudniali tylko tę krzyżową drogę matki, potrzebując to jakiegoś dokumentu, to jakichś kwitów i poświadczeń, że wkońcu po tak ciężkiej i męczącej procedurze dała temu wszystkiemu za wygraną.

I nastał więc dla matki czas wytężonej pracy, niesłychanych trudów i męki i głodu. Za kąt jej z miłosierdzia udzielony w malutkiej kątniczej chacie, przez również biedną i samotną kobietę, wypłacała się pracą od świtu dnia; by wykarmić swoje maleństwo chodziła daleko na zarobki, za marny często grosz, byle wyżyć, byle wyżywić, byle wytrwać.

Zapomnieli o niej wszyscy.

Ale i czasy były w on czas i ciężkie i trudne.

Upadały jedne po drugich dwory szlacheckie, przeznaczone na wyprzedanie, wysyłano ziemian — bez sądu, t. z. porządkiem administracyjnym, w dalekie i obce strony, zabierano majętności na skarb, ziemię obłożono podatkami różnymi: na duchowieństwo i cerkwie prawosławne,

na kontrybucyę za r. 1863 i t. p. Zubożał więc kraj nasz, kiedy jednej kontrybucyi wypłaciła Litwa przeszło 10 milionów rubli; przestała rodzić ziemia nie będąc pewna swego jutra, do kogo należeć będzie, a więc i nie było komu zaopiekować się rodzinami ofiar wojny.

Tymczasem przyszedł czas, kiedy dziecko uczyć było trzeba i wskazać jego obowiązki i ukazać cel i drogi życia, a tu nie było formalnie za co uczepić rąk. Wprawdzie w sąsiedztwie, pokryjomu uczył dzieci wędrowny bakałarz, przechodząc zwioski do wioski, od chaty do chaty, zapłacony, nakarmiony, odziany, a cóż mu dać mogła biedna kątnica?

Krajało się więc serce biednej matki widząc, że nie podoła i ciało nakarmić i umysł rozświetlić, że dziecko grobu gdy stanie u stóp przedwiecznego tronu, nie odnajdzie ani ojca swego, ani braci, bo nie będzie umiało o nich zapytać, a jeżeli odnajdzie, gdy do niej przemówią, już nie zrozumie może swej mowy ojczystej.

Aż wkońcu zmiłowała się pani ze dworu, co również została wdową i wzięła dziewczynkę do siebie dla nauki i posługi panienkom. Gdy dojrzał jej umysł do pojęcia o życiu, gdy rozwidniła się jej dusza — jeszcze bardziej uczuła się biedną i ubogą — jeszcze bardziej uczuła tę wielką krzywdę społeczną swojego narodu. Nie rozumiała jednak tego, że cierpieć i umierać było obowiązkiem naszym, gdy natomiast prawem dru-

giego było żyć i cieszyć się tem życiem, choćby kosztem innego; że ludzkie prawa mierzą się nie jednaką miarą — silniejszy bowiem bierze nieraz wszystko, nie zostawiając słabszemu niczego.

Takie już prawo bytu.

Późniejszy czas nauczył ją tego, czego dotąd zrozumieć nie była wstanie i przed zbudzonym jej umysłem, przed roztwierającą się duszą zamajaczyły już te dalekie horyzonty niewoli...

A wraz z nim budziły się brzaski nowych potrzeb i pojęć, nowych dróg i kierunków. Czas skarg i kwilenia już przemijał, rodziła się życia narodowego epoka nowa, w której skargę bezowocną zastąpić powinna praca cicha, ciągła i wytrwała.

Lecz równo z tem wejściem duszy jej młodej w świat — umarła matka. Z nędzy, z wyczerpania sił? — nie! Pracowała wprawdzie ciężko, lecz potrzebowała niewiele, oddając wszystko swemu dziecięciu. Umarła po prostu z tęsknoty za życiem minionem — za swymi...

Niejeden powie może, że w owe czasy uświadomienie ogólne było słabsze i poczucie obowiązku mniejsze, że biedna wyrobnica odczuć mąk takiego życia nie mogła, ani zrozumieć tych narodowych ideałów, które nieświadomie niejako przyświecały ówczesnemu życiu.

A jednak tysiące takich żon i matek było w kraju.

Bo nieraz, tam, w tych duszy ludzkiej głębi-

nach, niewiadomo przez kogo zapalały się ognie ofiarne, budziły się uczucia szczytne i ognie te nie gasły, ani w gromach burz krwawych, ani w zamieci walk, lecz jeszcze bardziej się zmagały i gorzały jaśniej. Czy zapalała te ognie dusza narodu — ta potężna i wielka i nieśmiertelna, jak Bóg, jak wieczność, jak nieskończoność; czy może wiara w dusz tu umęczonych zmartwychwstanie i połączenie tam — poza grobem; czy może inna jaka siła, utajona głęboko jeszcze w sercu człowieka? — któż odgadnie! Jedno tylko było prawdą, że jak ta trawa na łąkach, jak ten kwiat w polu, jak te drzewa w lasach rosnące — dusza mieszkańców naszego kraju czerpała z tej ziemi ojczystej pokarm swój, siłę swoją, hart swój, moc swoją...

I posiew ucisku szedł na marne. Zatruwały się wprawdzie sumienia ludzkie, ziębły serca, ale tylko w początku. Im okrutniejszy ucisk się stawał, tem silniejszą, bo wewnętrzną budził reakcyę w narodzie, tem odporniejszą się stawała jego dusza i ci co ją zmódz pragnęli, bezwiednie przysparzali jej sił, wytrwania.

I u tej dziewczyny, u tej sieroty, u tego jeszcze dziecka pochylonego u trumny matki, już zapalalo się ognisko narodowego życia, a gdy i ona z kolei odejdzie, na jej miejscu stanie druga, następne, które karmić będą piersią własną rosnące młode pokolenie, z mlekiem matki wlewać

w organizmy przyszłe tę krew czerwoną życia, tę krew czerwoną bytu, trwania...

Przed jej oczami gorzały zapalone ognie u grobu. Odchodziła jej matka tam, ku światłościom, tam, poza światy lecz uczuwała zarazem jak coraz goręcej biło jej serduszko pod ubogim stanikiem, jak ku niej spływało jakieś widzenie, jak wsiąkały w duszę jakieś głosy — z poza grobu... Oddawała ziemi ciało, lecz jej duch pozostawał tu...

A tymczasem kończył się śpiew chóralny i coraz tęskniej i coraz ciszej brzmiała pieśń pogrzebowa: »Wieczny pokój, wieczne odpocznienie...«

Pogasły światła u grobu, zakończył się smutny śpiew i coraz większe wstawały cienie z zakątków olbrzymiego kościoła. Zdala tylko dochodził szum jakby odlatujących skrzydeł, gasł promień słońca u zachodu... kończyło się życie dziecka... Pozostała na ziemi miała być początkiem już innego... Bo życie wszędzie trwa: jak niema bezwzględnej próżni w przyrodzie, tak niema i zupełnej śmierci... Umiera człowiek i wnet się rodzi inny, upada naród, powstaje naród nowy. a ziemia zawsze jedna i taż sama i w łonie jej wre ciągle życie utajone, życie nowych pokoleń i narodów.

Bo ziemia ojczysta, jest kolebką życia, a groby którymi jest usiana, to tego życia ślady. I biada temu narodowi, któryby zapomniał i o tej kolebce i o tych mogiłach!...

Wilno 1908.

BEZ GNIAZDA

(Z DZIEJÓW 1863 ROKU).



»Do swojej własności przyszedł,
a swoi go nie przyjęli«...
Początek ewangelii według św. Jana.

Zbudził się o świcie letniego poranku.

Nad nim pochylały się opiekuńczych drzew ramiona, które cicho, jak dziecięciu w kolebce, szumiały nad głową. W powietrzu unosiła się odurzająca woń żywiczna, co szła z poblizkiego mrowiska, mieszkańcy którego już wstawali do roboty dziennej. Po przez liście zielone, skropione nocną rosą, wyzierało pogodne niebo jego kraju, poza bladą przezroczą osłoną mgieł poranku i dech wilgotnej ziemi do niego tu dochodził.

I wodził on oczami po tych drzewach, po tych krzewach gęsto splecionych u ich podnóża, dziwiąc się jakby, że znalazł się w tej ciszy lasów. Zdala tylko, skądś, od wnętrza ich, dolatał do niego jakiś srebrny, chóralny szczebiot ptasząt, dzwoniący lasom Litwy na pobudkę.

Pomimo kojącej nocnej ciszy i wypoczynku na mchowem łożu ojczystej ziemi, leżący pod drzewami czuł się jednak dziwnie osłabłym i zmęczonym. Bolały wszystkie członki, dławiło pierś

jego oczekiwanie czegoś, wdzierał się do duszy lęk i jakiś dreszcz niewytłumaczonego niepokoju obejmował go w ramiona.

Zewsząd — jakby w marzeniach sennych — zalatywały doń wspomnienia. Z tych dużych traw wilgotnych lasów, co się rozścielały poza nim, pachnących miodną rosą, z każdego krzaku leszczyny, lub kaliny, z tych drzew stojących w ciszy uroczystej, odgradzających świat swój od gwarnych siedlisk ludzkich, szły jakieś dawne, znane głosy, dawne, minione dzieje.

Pamięta on tę swoją młodość życia!...

Lecz również dni walki i konania, i śmierci, i gorzej niż śmierć sama — upadek nadziei, a poza nią długą męczeńską drogę tam, »gdzie światłość dzienna w noc wieczną się zmienia i wrząca krew stygnie w uścisku podbiegunowych lodów«...

Pomni on tę drogę, pomni ten pochód kajdaniarzy, te długie noce na stepach i te straszne wżerające się w ciało owady, a gdy mdlały i opadały siły, uczuwa na grzbiecie jeszcze pocałunek kolby i słyszy świst nahajki!...

On wszystko pamięta!...

A tam, u końca tej męczeńskiej drogi, widzi dziś jeszcze tę krainę pustynnych, smutnych pól, ponurych, mrocznych lasów i błot i moczarów Syberyjskiej tajgi...

I dzisiaj zda się słyszy jesiennych wichrów wycie i chłonie w siebie ciszę śmierci, czającą się pod białym, zimowym całunem.

Przez długie lata!...

Zmieniały się kolejno dni i noce i pory roku. Lata biegły jedne za drugiemi, straszne, długie, nieskończone, znaczone tęsknicą, zasnute ciągłym bólem, krwawiące ranami duszy umęczonej, co przejada i rozkłada najszlachetniejsze siły ludzkie. Bo on widział nieraz, jak niejeden z zesłanych tam, odgrodzony tysiącem mil od Ojczyzny, z początku walczył z sobą, mocował się, a potem cichł i słabł w tej strasznej apatyi i zobojętnieniu na wszystko, co mu było niegdyś blizkie i święte i drogie...

I widział takich wielu, co przeszczepieni na tę ziemię cudzą, wrastali potem w nią, dzielili się krwią serca i bólem duszy, aż wkońcu dla swoich umarli. Ileż łez i skarg i przekleństw leciało nieraz ku temu blademu zimnemu niebu, co obejmowało ich i gniotło jakby wieko trumny; ile wspomnień, tęsknoty i modlitwy szło tam, na zachód — do swoich!

I on płakał i bolał i przeklinał.

I jego budził, ze śmiertelnego odrętwienia, tęskny szum wiatru, idący z dalekich ojczystych pól i on pytał nieraz te jasne gwiazdy nocy, które świeciły jego ziemi o wieści stamtąd...

I gdy nadeszły wkońcu, szedł dniem i nocą, przepływał wielkie rzeki, przejeżdżał olbrzynie lasy i pustkowia — aż stanął tu. A gdy tu stanął, to długo swoją ziemię obejmował, gdy jej przekroczył granicę, i u jej łona pochylony jej się

skarżył, do niej modlił — i potem już wieziono go, bo już sił nie miał iść dalej...

Podróżny, był to średnich lat mężczyzna. Zmierzwione, siwizną przypruszone włosy spadały mu na blade czoło poorane bliznami życia. Na twarzy umęczonej i zrezygnowanej była wypisana cała przeszłość jego. Odziany był czysto, starannie, lecz ubogo. U jego boku leżała torba podróżna spłaszczona i zapewnie próżna i kij — towarzysz życia.

Podróżny zwolna się dźwignął ze swego posłania i usiadł. Przy ruchu tym odkryła się pierś zapadnięta, obrosła, czarna. Na sznurku zbrudzonym zwisał u szyi krzyżyk mały. Z pod odwiniętych nieco rękawów widniały blizny. Blizny te głęboko wżarły się w ciało i tworzyły białą obrączkę kajdaniarską. Gdy wkońcu dźwignął się i stanął, wysoka postać jego prężyła się jeszcze, jak te obok stojące świerki, w górę, ku niebu.

Wtem zaszczekał pies.

Podróżny się obejrzał.

W pewnem oddaleniu pokazała się jakaś postać, z bronią na ramieniu. Poprzedzał ją kudłaty duży pies. Podróżny zwrócił się nagle ku niej. Idący człowiek się zatrzymał. Pies zrazu spojrzał nieufnie na wędrowca, okrążył go zdala, lecz potem szczeknął raz drugi, głosem niepewnym, jakby z obowiązku i wkońcu niedaleko u nóg swojego pana się położył.

Podróżny kiwnął na powitanie głową.

— Powiedzcie mi człowieku, czy dobrze idę do Szarkowszczyzny? zapytał.

— A skąd Pan Bóg prowadzi? — pytaniem na pytanie przybyły człowiek odpowiedział.

— Hm! Skąd? — Ze świata i przed siebie. Skarbowy stróż leśny badawczo spojrzał nań.

— Ha! widać to po panu, że ze świata, ale u nas tym, co ze świata idą i gdzie dążą nie wiedzą, chodzić tu nie bardzo wolno. Taki przykaz.

— Przykaz! A od kogo? — Zapytał podróżny.

— Ot przykaz, to i dość: wiadomo od kogo, od stanowego, uriadnika i innych — co tu pytać!

Nastąpiła chwila milczenia.

— A powiedzcie mi — ciągnął dalej, jakby nie słyszał co do niego mówiono — czy tam, w Szarkowszczyznie, kto jeszcze z rodziny Szczerbów pozostał w życiu? — Z niepokojem widocznym badał podróżny.

— Z rodziny Szczerbów? — a kto jesteś waść, że o Szczerbów pytasz? — znowu pytaniem na pytanie odpowiedział.

Spojrzeli sobie w oczy.

A były to czasy ogólnej i wzajemnej nieufności, podejrzeń, obawy o ludzi bezdomnych, lub wykolejonych. Wędrowali po kraju różni: czasem istotnie niepewni, nieznani, niewiadomi, ani tej Syberyi, na którą się powoływali, nieoglądający, idący przez świat i u niego pod pretekstem wygnania żebrzących pomocy i miłosierdzia; ale powracali i zesłani rzeczywiście, po manifeście, szu-

kając siedzib swoich, pozostawionych na łasce losu, lub rodziny, jeżeli nie zostały zabrane na skarb i rozpytując o blizkich, o swoich; ale siedziby częstokroć już były w rękach obcych, a jeżeli i zostały w rodzinie, to ten z dalekich krajów wędrowiec, nie miał już czasem wracać po co. Z początku, z tych pozostałych cząstek, wysyłało się zapomogę wygnańcom, ale w następstwie czasu zapominało się już o nieobecnych, albo zaginionych. Przechodziły długie lata, powoli się kurczyła własność ziemska, szło przedawnienie i dla tych ofiar zbrojnego powstania, które dotąd jeszcze tułają się po obczyźnie — nie zostawało nic...

Smutna to była dola wielu, więc i nic dziwnego, że w rozmowie, którą on prowadził, w tej ciszy wonnych ojczystych lasów, uczuwać się dawała trwoga w jego głosie.

A jednocześnie ci, co pozostali w kraju, pod uciskiem zarządzeń różnych, administracyi miejscowej, wszelkiej społecznej woli byli pozbawieni i przejęci obawą ciągłą o to niepewne dla nich jutro, które wyrokiem dowolnym tychże władz, zmieniało się nieraz na więzienie, albo na wygnanie.

Obawa prześladowania była u nas powszechną i uczucie litości i miłosierdzia z życia narodu wykreślone. I ludzie nieraz od siebie odwracali głowy, mijali się w trwodze, czy aby ktoś współczucia,

które gorzało w piersiach ich nie dojrzał. Niewola spodlała dusze, deprawołała kraj.

A gdy wkońcu zjawiał się ktoś nieznany, wracający po manifeście z Syberyi, lub z innych stron, patrzono na nich trwożnie, bo nad głowami ich wisiała kondemnata, już z góry przysądzona — nieprawomyślności politycznej — co nieraz szła wraz z nimi przez życie całe.

Byli to, według pojęcia władz, wyrzutki społeczeństwa i prędzej amnestyi zupełnej dostępował największy zbrodniarz i kryminalista, niźli tak zwany, polityczny. Znajomić się więc z nimi i bratać się z nimi było rzeczą niebezpieczną.

Ciężkie, męczeńskie było życie wygnańców na Syberyi, ale w ojczyźnie własnej było jeszcze gorzej. Tam wyrok nad nimi spełniony był i już się skończył, tu w kraju, w dalszym ciągu trwał, — ale podróżny o tem nie wiedział, nad tem nie zastanawiał się i, po dłuższej przerwie ciągnął rozmowę dalej.

— A toć zapewno i Adela Broniewska żyje jeszcze i Winceuty Szczerba, ot tam, na skraju okolicy, wedle grobli?

Leśnik popatrzył na mówiącego.

— Acan zapewnie nietutejszy, albo stąd wyszedł dawno, że niewiesz nic — poczynał mówić, ale urwał nagle i obejrzał się. Zaturkotało w oddali. Na odgłos ten porwał się pies i począł, zwróciwszy się w tę stronę szczekać i ujadać.

Szarpał ziemię i kopał ją nogami, szerść na grzbiecie zjeżyła się mu do góry, opanowała jakaś złość i zawziętość.

Turkot ucichł nagle.

Po pewnym czasie wyjrzała z gąszczów głowa młodego człowieka, o twarzy przebiegłej i chytrej. W jednej ręce trzymał bicz, opierając się na nim niekiedy.

— A idź ty psie do wszystkich dyabłów! — krzyknął nań przybyły — wiecznie ci się złości, gdy spotkasz się ze mną. A pójdziesz ty, bo oto jak widzisz! — i rozpuścił bicz.

Pies się cofnął nieco, ale tem gorzej ujadał i rzucał się.

— I pytam czego się za mną włóczycie ciągle Mości Szczerba? — burknął niechętnie leśniczy. — Zachodzicie mi tylko drogę i drażnicie psy?...

— Phi! phi, jak honor kocham, co to Waść taki dziś zły i nieprzystępny? Ot, miałem interes, jadę na targ do miasteczka, a posłyszawszy waścinego psa, zaszedłem tu, — ale w tej chwili zwrócił oczy na stojącego wędrowca i coś zamigotało w jego źrenicach.

Podróżny wpatrzył się w przybyłego, a w ślad za wzrokiem jego, skierowały się oczy leśnika.

Był to jakoby sobowtór wędrowca. Tylko, że to była figura buńczuczna i harda, a złe myśli wyżłobiły rysy te w otwartą księgę dla tych co umieli czytać w duszy ludzkiej, jak również zamkniętą na siedem pieczęci dla ufnych i prostacz-

ków. Coś tam, w głębinach jej drgało ciągle niepokojem i walką...

Podróżny postąpił ku niemu.

— Cóż to nie poznajesz mię Wincenty? ozwał się on nagle. — Toż ja twój brat Ludwik, powracam z wygnania i idę do domu, do Szarkowszczyzny.

Podróżny się zaśmiał.

— Może brat, a może i nie brat teraz po świecie chodzą różni; Ludwik już dawno umarł, jak nam doniesiono i do Szarkowszczyzny iść też niema poco, ziemię zabrano na skarb.

Podróżny uczuł drżenie w całem ciele, nogi mu osłabły i głos zamarł w piersi. Uczucie niewysłowionego smutku i przygnębienia objęło... Nie posiadał więc już nic i nikogo, bo nawet brat jego własny, młodszy, wypierał się go i od niego się usuwał. Lecz nim cokolwiek bądź odpowiedzieć zdołał, zaturkotało po raz drugi, do uszu zebranych na leśnej polanie doleciały jakieś głosy i z poza drzew wysunęła się nowa postać.

Był to stary żyd.

Przybyły szedł powoli widocznie strudzony wiekiem, ozierając się do koła i otrząsając chałat swój, którego czepiała się słoma. Cicha, spokojna była postać jego. Oczy, z pod brwi nawisłych, patrzały łagodnie, poważna, siwa broda świeciła zdala. Pies szczekał krótko i na powitanie zakręcił ogonem — znał go. Żyd był tu blizkim mieszkańcem karczmy, handlował czem mógł, byle

przeżyć; zazierał do tych wiosek, okolic, hat, rozrzuconych w promieniu od siebie niedalekim — znali go wszyscy i on wszystkich znał. Stanąwszy na wzgórzu, kiwnął zlekka głową i dłużej wzrok swój na obcej twarzy zatrzymał.

Na widok starego Żyda, Szczerba nagle się zwrócił ku odejściu. Pies, zobaczywszy ruch ten, porwał się z miejsca i ponownie ujadać począł, przeprowadzając odchodzącego w las, aż ku drodze. Słychać było tylko zdala nawoływania i przekleństwa, lecz wkońcu zaturkotał wóz odjeżdżającego i wszystko umilkło.

— Nie mam widocznie łaski u wielmożnego Szczerby — uśmiechając się zaczął Żyd. — Un taki ciągiem, przy spotkaniu ze mną, zły. Powiadają, że jedne jabłko z jabłoni, ale ja miszle co dwie i każde inne. I pan Wincenty inne i pan Ludwik inne. Oj! oj! tamten to był dobry i poczciwy puryc — szkoda go — to nie ten — i splunął. Uch! ciężko było z nim żyć jej, z takiego wielkiego domu, z takich wielmożnych Broniewskich.

Na wspomnienie tego nazwiska, podróżny przystąpił nagle do Żyda i nie hamując już swojego głosu, ani uczucia, które obudzone zalewało twarz — gorączkowo go zapytał.

— O kim mówicie, o jakiej Broniewskiej? — może o Adeli, gdzie ona i co się z nią stało?...

Na dźwięk głosu tego Żyd drgnął, jakby nagle został ze snu zbudzony. Pochylił swoją twarz, spojrzał w oczy i rzekł zcicha:

— Pan Ludwik?... — a zbliżywszy się ujął rękę jego i serdecznie, a długo uściskał. — Pan Ludwik! tak dawno! tak dawno! I pan żyje jeszcze i do nas wrócił, — za pozwoleniem, za manifestem — tak?

Podróżny skinął głową.

— Aj waj! aj waj! — smutnym głosem mówić począł stary Żyd — tyle lat, tyle lat! I pan postarzał na wygnaniu, jak i my na swobodzie. Widno chleb ten sam i tu i tam — jednaki chleb niewoli... — wyszeptał zcicha. I załzawione oczy podniósł w górę.

Leśnik podszedł bliżej.

— Wybaczcie panie! — ozwał się podając swoją rękę podróżnemu. — Poturbowałem was, ale cóż czynić miałem — przykaz taki i taka nasza dola. U nas to powszechne: Każą nam patrzeć wszędzie, pilnować wszystkich, śledzić każdego i — donosić, a z kolei szpiegują i nas. Broń Boże, więc czego, zaraz »wygowor«, sztraf, albo niekiedy i turma. Sądziłem więc, że i wy... wybaczcie, nie wiedziałem, ale teraz już wiem. Ten, za przeproszeniem brat pański — wskazał ręką na drogę — wszystkich nas jak widać okłamał, a biedną żonę własną najbardziej...

— Dosyć już — nie mówcie Łukaszu więcej — wtrącił się Żyd — ja sam potem mu opowiem...

Ale podróżny już wybuchnął. Z głębin jego piersi zaklęsłych, urywane wypadały słowa, z wnętrza jego, powodzią uczuć wyrzucone wylewały

się one... W oczach naprzemian migotały blaski i łzy szkliły się pod powieką. I wspomniał swoje dawne męki i cierpienia. Być może i on, będąc w lepszej doli, zapomniałby o tych co pozostali w kraju, bo byli i tacy, ale on szedł do swoich, spotkał brata, którego młodym chłopięciem zostawił i który go się wyparł i ojcowiznę zabrał; przyszedł do tej jedynej duszy, która przyrzekła być mu wierną aż do grobu, a tu zaraz na wstępie coś się kryło w słowach Żyda, coś się rwało w opowiadaniu leśnika, a do jego duszy wlewało się bezbrzeżną trwogą.

Żyd położył mu rękę na ramieniu.

— Chodźcie panie ze mną — chodźcie, po drodze dopowiem, a waćpan — zwrócił się do leśnika — może później przyjdziesz do mnie. Dobrze?

— Dobrze — odrzekł leśnik i wszyscy się rozeszli.

Po przez gąszcze, Żyd prowadził na skraj lasu, gdzie stał koń, zaprzężony w hołoblach, pilnowany przez młodego żydka.

— »Gej a weg!« — krzyknął nań i zabrawszy lejce, zwrócił się do podróżnego.

— Siadajcie panie Ludwiku!

Podróżny wsiadł. Żyd cmoknął na konia i wóz powoli potoczył się po drodze.

Przy gościńcu wiodącym do miasteczka R. stała duża niegdyś karczma, dziś stara, miejscami pochylona i w połowie już nie zamieszkała. —

W dawnych czasach, kiedy kolei żelaznych było mniej, stały one u nas, na Litwie, jedne przy drugich; obszerne stodoły zaledwie zmieścić mogły wozy przejezdnych, a pokoje gościnne podróżnych. Ruch wówczas, na gościńcach był wielki, ciągły — dniem i nocą. Gościńce te, były to arterye krajowe, przez które przepływała krew jego, praca jego i jego bogactwo, a karczmy stawały się etapami, które tę krew narodu, jego pracę i bogactwo wysysały i wchłaniały w siebie. Zrzadka tylko na tych etapach przydrożnych siedział Żyd sprawiedliwy i kraj miłujący i do tych należał właśnie Aaron, właściciel wyżej wspomnianej karczmy. — reszta walczyła o zysk tylko.

Ale nastały czasy inne, przyszli nowi ludzie. Rok 63 stanął na pograniczu dwóch odrębnych światów, więc i życie społeczne przycichło i zamarło. Ustał handel, zubożał naród; nowe arterye kolei żelaznych wywoziły do obcych wszystkie ekonomiczne siły jego. Ogołocony kraj z ludzi, z mienia, z dobrobytu, posiadał jeszcze skarby w lasach i w puszczach rozległych, ale rosły i wzmagały się potrzeby i przyszło je poświęcić.

Tymczasem, gdy ruch handlowy skierował się na zewnątrz kraju, te liczne, obszerne domy zajezdne przy gościńcach stanęły pustkami. Powoli zamierało w nich życie, zrzadka bowiem przystanął przy nich wóz, lub wtoczył się do stodoły, a już nie widać było prawie pańskich cugów i taborów.

Więc z każdym rokiem zabijano okna, zamykano na głucho drzwi pokojów gościnnych i zatarasowywano wrota, wiodące do wnętrza arki Izraela. Umierał tak powoli dom, jak i człowiek.

A właśnie jeden z takich domów, goniący ostatkami życia, stał u skraju drogi, przed którym wózek Żyda się zatrzymał.

Weszli do izby.

Podróżny usiadł na ławie.

Izba, do której wstąpili, była to niegdyś obszerna szynkownia, o oknach kilku, długich ławach na około ścian i o olbrzymim zgaszonym już od dawna kominie. Zczerniały pułap zwieszał się nizko osnuty pajęczyną; próchno gdzieniegdzie przeglądało ze ścian pod odbitym tynkiem i blado świeciło jedyne okno nie zabite deskami. Ze wszystkich kątów przeciskała się stęchlizna odległych lat i smutek wspomnień lepszego niegdyś bytu.

Podróżny siedział pogrążony w głębokiej zadumie. Co się w jego duszy działo, jakie tam wrzały uczucia i jakie w myśli jego kłębiły się tumany — wiedział tylko on.

W drodze, Żyd mu opowiadał długo, a on słuchał i milczał. Czasem tylko skurcz bólu wykrzywił twarz, błysnęły piorunem oczy, zacisnęła się pięść, lecz ścierpiał po nieodwołalnym już wyroku. I głowa pochylona, przez którą szron

życia przezierał, gięła się jak kłos dojrzałego zboża, przeznaczonego już na ścięcie.

Tak mu było widać sądzono. Wola Boża! Więc już nic mu nie pozostało: — ani czci, ani mienia?... Jedno i drugie zabrał on — brat jego i ją wkońcu, a potem z domu wygnał na nędzę, na poniewierkę, do karczmy, do Żyda!... Szczęściem tylko, że do takiego Żyda, jakim był Aaron.

Więc wrócił do kraju tylko po to, aby znów doznać nowej krzywdy?... Więc może sny i mary o Ojczyźnie, to tylko dym, co wznosi się z pogorzeliska nadziei narodu, co wionie zapachem mogilnym przebrzmiałych dziejów i wciska się do duszy upadkiem i ruiną?...

Więc te ofiary krwawe, więc te męczeńskie lata i te widzenia i obrazy, to tylko gorączkowe złudy wyobraźni, które tam, w dali, z posiewu mroków i bólów życia wzeszły w duszy?...

W przepaściach myśli swoich on przebywał, w otchłaniach smutku tonął i w ślad za każdą myślą, za każdym czynem swoim szedł i śledził i nie znajdował winy w sercu swem, za którą mógł go Pan pokarać...

Przelewał wprawdzie krew, — ale, w obronie Ojczyzny...

Drzwi się uchyliły z cicha i powoli, wszedł do wnętrza stary Żyd.

Skinął nań.

Drzwi za nimi się zawarły.

W niewielkiej zacisznej izdebce, na ubogim łożu, leżała wynędzniała średnich lat kobieta. Nad łożem zwisały jakieś powiędłe i uschłe zioła, w środku ich Obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej, a u spodu na sznureczku, czarny maleńki krzyżyk. Wszędy tu roznosi się mdła, upajająca woń przewiędłych ziół i kwiatów. Na przedśmiertnie zbudzonej jej twarzy widne były oczy pełne gasnących już blasków oczekiwania, pełne modlitewnego szczęścia, a zarazem nieskończonego smutku. Na twarzy rozlana była rzewność cicha, coś jakby z za świata, coś już jakby z poza grobu. I blaski te walczyły z zasnuwającymi się już cieniami śmierci, pełzały, nikły i znów jaśniały i znowu budziły się do życia. Czasem tylko coś drgnęło w jej piersi, załkało cichym głosem, ale jej oczu gorączkowych nie zwilżyła łza. Była ona już jej obcą wypłakała wszystkie...

Naraz zdało się jej, że się coś poruszyło w izdebce... — Spojrzała.

Podróżny stał u jej łoża...

. . . .

Jej twarz gorzała i ręka zaciśnięta w dłoni wędrowca drgała spazmem wzruszenia. Wkońcu wysunęła się z uścisku i wskazała krzyżyk czarny, nad łóżkiem zawieszony, prosząc aby wziął go dla siebie. On wzamian pierś swą roztworzył i zdjąwszy swój na jej szyi zawiesił. Umierająca przycisnęła go do ust swoich.

— Przebaczcie mi — mówiła słabym głosem — widziałam zawsze na obliczu jego obraz twój, a gdy mi wkońcu powiedział, — żeś umarł na wygnaniu — uległam... a potem — wygnał mię... Skrzywdzono i Ciebie... Od Szarkowszczyzny do skarbu odeszło mało ziemi — ukrył ją, ale gdy o nią się upomnisz — nie odda jej, potrzebna mu dla innej, nowej... lub skarb odbierze... Zostałeś już bezdomny...

Oj smutne było życie moje, — mówiła co raz ciszej — i ciężko dźwigać tyle krzywd... i mnie, a dziś i tobie... ale darujcie mi... ale przebaczcie... Nie macie dzisiaj już dachu ponad głową... zajmijcie po mnie na mieszkanie kącik mój... gdziem tyle przeżyła dni... ciężkich dni...

Przyszedłeś już zapóźno drogi bracie mój, bo oto zmierzcha już, gdy tyle... tyle jeszcze... i Ciebie już nie widzę, a odejść trzeba — ...szeptała cicho — coraz ciszej...

Chciała go pożegnać jeszcze przed progiem wieczności, wychudłe ręce wyciągnęły się ku niemu, a palce jej drgać i poruszać się, jakby szukając czegoś; raz jeszcze na odchodnem uśmiechnęły się ku niemu zamierające już usta, drgnęły na nich, po raz ostatni niedokończone słowa, wpatrzyły się w niego mgłą łzawą już zachodzące oczy...

Wędrowiec zamknął je ostatnim, braterskim pocałunkiem...

Nad usypaną dawno już mogiłą, siedział on

samotny i dumał. Zbliżyła się już jesień i od czasu do czasu spadały liście z drzew, które tu, u nóg jego cichym szelestem opowiadały i swoich dni minionych dzieje, tak bliźniaczo do siebie podobne, tak jednakie. Rozpęknął liść o wiośnie, zazielenił się i uschły na jesieni spadł. Tak było i z życiem jego.

I on stąd wyszedł młodym, pełnym nadziei, a wrócił już zwiędłym starcem i wokół siebie znalazł pustkę i mogiły. Wykreślono go już tu z rachunku i nikt się z nim nie liczył, jak z wylosowaną kartą.

I nic dziwnego przeto, że kiedy czasem przychodzą tamci z dalekich stron, skąd wraca tak niewielu, znajdują swe miejsca już zajęte przez innych, nowych, młodszych, a więc już są zbyteczni i słusznie powiedziano, że przyszli do swoich, a swoi ich nie przyjęli, bo przyszli oni już nie w porę...

A siedząc na mogile wzniesionej na wzgórzu, rozglądał się wokół i widział opustoszałe domy i dwory — zamarłe, ścichłe, mieszkańcy ich bowiem i dawni właściciele, spędzali poza krajem wygnańcze dni swoje. Rządzili się tu obcy przybysze i ziemię ojców naszych odzierali z dawnych szat...

I smutny wiał wiatr i szedł po kraju, po rodzonym... Nie było tu nikogo...

Widział on i swoje gniazdo zdala, ten dworek stary już i pochylony, owinięty w bluszcze

i powoje; te topole wiekowe przy drodze, te grusze na miedzach stojące... A poza domem rozciągał się sad, po którym on biegał dzieckiem — przestronny, rozkwitły, pachnący; a tuż i łąka, przez którą przepływa srebrna struga, a na tej łące zbierał on niegdyś polne kwiaty...

Widział to wszystko w blaskach już umierającego dnia, lecz tylko z daleka, bo nikt go tam nie wzywał. I lepiej może, że tak się stało, przynajmniej widok ten wygnańczy piersi nie rozkrwawiał.

A jeżeli wrócił on do kraju, party niezmożoną tęsknotą do tej ziemi, która pachniała mu wspomnieniem, to tylko dlatego, że nie rozumiał, że nie pojmował co on tu odnajdzie, jaki smutek falami go opłynie i jaki ból i żal zmęczoną duszą jego zatarga...

Tam, na dalekiej północy, leżą mogiły samotne, opuszczone, sieroce, ale do ich wnętrza łza nie przecieka i głos skargi narodu już nie dochodzi, a tu wszędzie groby jak rana otwarte i ciągle jątrzące się bolem... Ciężko żyć tu, ciężko leżeć pod ziemią »i słyszeć wciąż zdala tych szatanów wycie...«

Wrócić więc, wrócić, choć smutno i ciężko żegnać kraj i wszystko jedno dokąd pójdzie on, gdy się już jest bez domu, bez gniazda, bez Ojczyzny...

Dzień już dogasał zwolna i łuna zachodu bla

dła; wstawały wokół cienie, wydłużały się w widziadła; mętniały już widoki siedzib ludzkich i oblicze ziemi zakrywała zasłona nadchodzącej nocy... Czas mu w drogę — już czas... z bezkreśnie smutnym jękiem zgiął kolana, pochylił głowę nad drogą mu mogiłą, objął ją i po raz ostatni ucałował na pożegnanie ziemię swą rodzinną na wieczność już. Zwrócił się nazad, na tąż samą drogę i poszedł dalej — w świat...

Legenda dawna opowiada, jakoby kiedyś, przed laty, zjawił się człowiek, który miał moc wskrzeszania zmarłych. I szedł on od chat, do domów i pałaców i od pałaców do chat, a idąc pytał ojców, dzieci, mężów, żony, chcą, czy pragną by wrócił do życia ich drogich zmarłych, pogrzebanych, lub w burzach świata zaginionych, — a nikt mu na to zgodzeniem się nie odpowiedział.

Prawda, potrzebni oni byli kiedyś, w swoim czasie; byli nieraz filarami rodziny, obrońcami ojczyzny, sercem domu i duszą kraju, jego radością i chlubą, ale byli i — minęli. Zostali wkońcu zastąpieni.

W mnogości lat, które przeszły ponad życiem, żal początkowy przycichnął zwolna, przechodził i mijał smutek; tworzyly się nieraz stosunki nowe i nowe zobowiązania, nastawały czasy inne, przychodzili nowi ludzie, znajdowały się inne potrzeby, rodziły się inne pojęcia i — zapominało się o wszystkiem i o wszystkich...

Tak, bo jak w historyi narodu, tak również w dziejach rodzin i społeczności, nic już nie wraca w tej samej formie bytu...

Wraca jedynie tylko życie przyrody, toż samo, świeże, bujne, jak i wczora...



DWIE KROPLE



Na skraju wielkich lasów stała chatka maleńka i uboga. Mieszkał w niej młody strzelec z matką, wiekową staruszką, która liczyła dużo już wiosen życia. Codzień rano, o świcie, strzelec, zarzuciwszy strzelbę na plecy, szedł pilnować obowiązku, a wracał wieczorem o zmroku. I tak szły dni, tygodnie, lata...

Aż nastały czasy pełne trwogi i niepokoju.

Z wiosną, jak zwykle, budziła się przyroda z zimowego snu, lecz zarazem zbudził się i naród z długiego, ciężkiego wypoczynku.

— Matko, już na mnie czas — rzekł dnia pewnego syn.

Staruszka podniosła w górę swoją siwą głowę. W jej oczach, zaszłych mgłą, zamigotały wspomnienia dawne, krwawe — już minione, zaszkliły się w nich łzy, ale odrzekła cicho:

— Prawda synku — już czas!

I poszedł...

A przed rozstaniem pokląkł, jak za dni dziecięcych, u kolan staruszki matki — po błogosławieństwo.

Objęła matka na pożegnanie tę drogą głowę dziecka i spadła na nią gorąca, ciężka łza...

— — — — — — — — — — — — — — —

Ponad rozległą litewską równiną leciały wichry zdala, roznosząc wieść o klęsce. I szła wraz z nią ponura i długa noc niewoli. Z tych grobów ciał, poległych w boju, wykwitał w kraju kwiat żałoby, roznosząc trupi zapach ziemi.

Staruszka długo czekała powrotu syna, ale doczekać nie mogła. Szukać go więc poszła w świat, a odchodząc przymknęła drzwi swej chatki. Znała ona wszystkie ścieżki, wiodące do tych grobów. Umierał podobną śmiercią ojciec jego tam — na polach Ostrołęki — chodziła tam. Odnajdzie matka i grób syna.

Minęły długie dni i noce...

— — — — — — — — — — — — — — —

Tam, poza światem ludzkich krzyd i bólów, tam, w przestrzeniach nieskończonych wiekuistego życia, zebrały się dusze poległych bohaterów i męczenników.

Niezliczone zebrały się tłumy!...

Od początku bytu Polski, aż do końca jej żywota — przez przeszło tysiąc lat...

Tysiąc lat! — dziesięć wieków narodowego życia... Stawały one na sąd Boga!...

A w tłumie tych aniołów i archaniołów była staruszka — żona i matka poległych za Ojczyznę. Znaleziono ją na ziemi na mogile...

Przed tronem Przedwiecznego stały dwie czary: jedna ciemna, purpurowa, czerwona, druga jasna, kryształowa, przezrocza.

I były tam — krew i łzy...

Krew narodu i łzy jego...

A obok tych czar tłumy mnogie, nieskończone...

W jedną z czar — w czerwoną, z głośnym szumem i pianą wlewała się krew, płynąca po ziemi naszej — krew Ojców i Synów; a w czarę drugą — jasną, cicho, kropla po kropli, spadały matek łzy.

Aż czary napełniły się po brzegi...

A wtem zbliżyła się staruszka przed tron Boga i rzekła:

— Panie! przyjm i moją życiową dolę... kroplę krwi i kroplę łez...

— Zważcie je — rozkazał Pan.

Czara z krwią podniosła się w górę.

PROCESYA ŚW. MARKA

(25 KWIETNIA)



Ponad zwartym, wielotysięcznym tłumem, który płynął olbrzymią falą po ulicach naszego Giedyminowego grodu, płonęło jasne, promienne niebo mojego kraju i pieśni pobożnej wtórzył cichy — jakby zaświatowy szmer, wyblakłych i poszarpanych chorągwi, pamiętających dawne, minione czasy, ze czcią i pietyzmem niesionych na czele przez starcze, drgające już ręce naszego pobożnego ludu.

Stałem oparty o mury byłej Kardynalii i załzawiony wzrok mój nie mógł ogarnąć ani początku, ani końca tego morza głów ludzkich, które dążyło do stóp naszej Orędowniczki i Pocieszycielki...

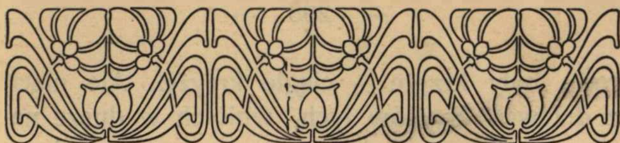
I przed wyobraźnią moją stanęły postacie dawne — z minionych, krwawych, smutnych dni, idące również z chorągwią narodową na bój śmiertelny — z modlitwą rozbrzmiewającą w ich szeregach... a do mojej duszy rozełkanej padały krople rzewnego żalu za tą wielką i świętą przeszłością...

O! nie dlatego, że ona dzisiaj już zagasła i umarła. O! nie dlatego, że dzisiejsze młode po-

kolenie tej świętej miłości Ojczyzny nie tyle uczuwa w duszy swojej, ale dlatego, że tyle sił, tyle pracy i tyle ofiar naszego narodu dotychczas szło na marne... Że dziś jeszcze marnujemy siły własne — w rozproszeniu, nie zaś idąc — jak szedł dziś ten tłum mnogi — w zwartych i karnych szeregach.

Lecz wierzyć chcę, lecz wierzyć pragnę, że przeszłość owa wróci i serca młodych żywszym, gorętszym ogniem jeszcze zapłoną; bo tylko takie siły są niezmożone, które się poczęły jednością, miłością i zgodą i takich tylko ludów »Bóg jest ucieczką i mocą...« i pomocnikiem...

DNI KRZYŻOWE



I serce moje drży jak w złapanym ptaku i pierś mą gniecie ból i duszę łzy... O Chryste! i kiedyż minie ta długa noc, a wstanie jutra dzień, kiedyż my wolni, swobodni i szczęśliwi korną i wdzięczną u Twoich stóp złożymy modlitwę?...

Przedemną szeregi — tłumy pokoleń jutra, które idą przed nami i pokoleń dawnych, których tylko mała pozostała garstka. Odchodzą już oni, ale odchodząc zostawią narodowi swemu i jego młodemu pokoleniu pamięć lat minionych i przekażą zarazem obowiązek dni, które przed nimi jeszcze — które do nich przyjdą.

Przedemną morze głów roztęsknionych i Tobie wiernych i Ciebie zawsze miłujących, a nad niemi rozwiewają się chorągwie, których szelest cichy — uroczysty, takie rzewne nawiewa wspomnienia — zda się wraz z tym tłumem przed niemi idącym szepczą pacierz swój. Czy zamierającej przeszłości, która już kona, czy może temu jutru, które wstaje?...

Bo dotychczasowe krzyżowe Twoje dni o Panie, to nasze dni, bo godłem życia naszego na-

rodu były krzyże — ciągłe krzyże... Ale niech z drzewca krzyżów tych, wbitych w dusze nasze, gałązka się zazieleni — wiosennych dni gałązka — miłości — zgody — wiary... tak wiary, że przyjdzie jutro, że wstanie dzień, lecz nie dotychczasowych, wiekowych krzyżów...

Wilno. Maj, 1908.

GROBY



»Na Anioł Pański biją dzwony« i po rozłogach naszych ojczystych pól, tych dźwięków płyną fale.

Co roku, w tym samym dniu, na głos tych dzwonów, przed naszą pamięcią powstają z zapadłych grobów i rozsypujących się już trumien, umęczone życiem ludzkie cienie, zamarłe nieraz w sił rozkwicie, lub w dół strącone burzą krwawych dni.

Z tych mrocznych grobów zagasłych istnień ludzkich, niegdyś potężnych duchem, głębokich myślą i świetlnych poezyą serc i słowa, coraz lotniejsze wstają mgły... i na to wszystko co nasze, co drogie i kochane, już zwolna zapomnienia zapada cień...

Bo życie płynie, czas leci i zaciera wypadki i obrazy osób najbliższych nam i drogich... Możeby nawet zupełnie zanikło ich wspomnienie, gdyby nie ów dzień poświęcony pamięci tych, co już odeszli.

Dniem takim jest Dzień Zaduszny.

W dniu tym i matki, co opłakują dzieci utra-

cone, i sieroty pozostałe i samotne na świecie i jeszcze innych wielu, związanych z sobą ślubem, sercem, lub krwią, a rozłączonych śmiercią, zdają się wołać wciąż ku sobie i w tych bezmiarach zagrobowego świata, szukać siebie wzajemnie.

Gdyby nie te święta grobów, możebyśmy zapomnieli o istnieniu tam światów innych; możebyśmy — gdy już te blizkie postacie od nas odchodzą — stracili poczucie tej drogiej, a tak nieraz potrzebnej wspólności pozagrobowej; gdyby zerwane zostały wszystkie węzły wzajemnie nas łączące, może daleko cięższem byłoby życie nasze tu na ziemi, nie wynagrodzone wszystkie nasze bóle i krzywdy, i smutki i łzy...

Tak, bo życie ludzkich dusz tam i poza grobem trwa i coraz bardziej zwiększają ich szeregi... A w noc Zaduszną z cmentarnych pól, w smugach świetlanych szat ze skargą płyną cienie, jakby przypomnieć chciały nam, że nie tu tylko, na świętej ziemi naszej leżą męczeńskie groby, lecz i tam, na dalekich jej odłogach i granicach i tam — poza krajem: poza piaskami lądów, poza wodami mórz, poza szczytami górskich ścieżyn i przełęczy...

Któż groby te policzy?... jak nikt nie zliczy tych jasnych gwiazd milionów, skrzących się na stropie niebios, ponad naszemi głowy, w które — jak mówi podanie naszego ludu — zmieniają się po śmierci dusze ludzkie?

Zanim więc północ na wieżach naszego grodu wydzwoni spokój grobów i rzesz cmentarnych ciszę, zwróćmy się pamięcią wstecz i w nasz półwiekowy dzień Zaduszny.

Wszędzie tu u nas, groby i kraj nasz jedną mogiłą: na rozsypiskach gór i w mrocznych cieniach lasów, na dróg rozstajach i w wiejskiej głuszy, na kwietnych dolinach Niemna i Wilji, na szarych płaszczyznach płowej Wisły i tam, na stepach zielonych, bujnej Ukrainy...

* * *

I na cmentarzach Wilna niemało tu leży ludzi zasługi, a przedewszystkiem, nasz Lirnik wioskowy (zm. 1862 r.). Obok niego leżą jego towarzysze: Kirkor, Malinowski, E. Tyszkiewicz, Wilczyński... a dalej profesorowie Uniwersytetu Wileńskiego: Abiecht, zm. 1860, Homolicki zm. 1861, Adamowicz zm. 1884, Rewkowski zm. 1893 i ostatni ich uczeń, Nowicki.

Ludzie to pracy, nauki, poezyi, sztuki, zwykli goście na wszystkich cmentarzach świata.

Lecz tam na zboczach góry Zamkowej, która jest sama, jakby pogańskiej Litwy grobem, i tam, na szczycie, kędy trzy topole, w miejscu zwalonych trzech krzyżów, w niemej skardze wznoszą swe czoła ku niebu; i tam, na tych opuszczonych, sierocych cmentarzach miasta leżą męczeńskich ciał szeregi...

I może żadne z miast Europy podobnych grobów nie ma...

R. 1863 najwięcej w kraju naszym ich przymnożył i dusze tych tu pogrzebanych, najbardziej winny być nam drogie i pamiętne...

Lecz i tu, półwiekowy tuman mgły, zasłonił te postacie. Na tych dolinach i na szczytach gór naszego miasta, nie świecą Zaduszne ognie, nie wieńczą kwiaty tych samotnych grobów, modlitwę wiatr rozwiewa... i tylko odległe, z wnętrza, jakby ziemi dźwięki budzą uśpione tam dusze...

Wielu z nich zrównane i zdeptane są mogiły i nikt nie wie, gdzie leżą umęczeni — samotni — zapomniani...

Wie tylko Bóg!...

A jednak są to święte szczątki tych, co z snu niewoli budzili ludzkie dusze, ofiarą krwi przelanej, narodu okupywali winy. Więc gdy Przedwieczny na sąd powszechny zbudzi i nasz naród, sądzonym on chyba już nie będzie, bo nad nim krwawy sąd już odbył się za życia...

* * *

Martyrologię półwiekową zaczyna ks. Iszora, rozstrzelany na placu tracenia — na Łukiszkach 22 maja 1863 r. Za nim idą ks. Ziemacki i szlachcic Laskowicz. Następnie 15 czerwca, na krzyżu cierpień zawisa ukochany wódz Litwy — Zy-

gmunt Sierakowski, wzięty ranny do niewoli, w bitwie pod Madejkami d. 27 kwietnia. Poprzedził go, towarzysz jego B. Kołyszko, stracony d. 10 czerwca. Dalej idą rozstrzelani 20 lipca, dwaj oficerowie Sierakowskiego, wzięci razem do niewoli Michał Staniszewski i Stanisław Kossakowski. Za nimi idą członkowie Rządu narodowego na Litwie: powieszeni w grudniu: Zdanowicz i Dorminowski i w początkach stycznia 1864 r. Tytus Dalewski i wkońcu 10 marca 1864 r. Kalinowski... i wielu jeszcze...

A dalej wspomnijmy śmierć Narbuta, na polu bitwy, Dłuskiego (Jabłonowskiego), wygnańca biskupa Krasińskiego i zmarłego niedawno tu, w Wilnie, jednego z nieskazitelnych synów ojczyzny — Zygmunta Czechowicza.

Nie wspominamy tu Dominika Maleckiego, który w grudniu 1863 r.. w Wiłkomierzu powieszony został; pomijamy śmierć ks. Mackiewicza, straconego w Kownie, bo obejmujemy żałobną pamięcią tylko straconych tu, w Wilnie. Na całej bowiem Litwie spełnionych były krwawych ofiar przez ówczesnego Wielkorządcę Murawiewa, według źródeł urzędowych 128...

. . . .

Więc jak tam, na bratnich polskich niwach, tak i tu, na litewskiej ziemi, jak u łona matki, przytuleni, śpią jej wierne dzieci. Ich groby, od czasu do czasu, ukoi modlitwa, obmyje łza, uko-

łyszą do snu wiecznego dźwięki ojczystych dzwonów i nuta rodzinnej pieśni ponad grobami ich przewionie. A wieluż z nich na obcej ziemi leży?... a wieluż z nich modlitwy w rodzinnej mowie nie posłyszy, tam, na dalekich i obcych mogiłach...

W cmentarnej zaciszy leżą różni ludzie: i ci których życie płynęło w pracy, w znoju, w ciągłych zawodach i smutkach, lub w nędzy i niedoli. A obok nich śpią możni tego świata, szczęśliwi i kochani, a jednak równi sobie, bo są już — prochem.

I mimo woli nasuwa się pamięci legenda dawna o możnym i wielkim bohaterze, co dużo walczył i zwyciężał, a wkońcu i sam poległ w bitwie. Gdy synowie, po pewnym czasie, zapragnęli uczcić prochy swego wielkiego rodzica, zarządzili poszukiwania szczątków jego wśród poległych. Rozkopali wzdłuż i wszerz pole bitwy i nie mogli odnaleźć, bo nie zdołali odróżnić szkieletu wodza, od szczątków prostego szeregowca, bo wszyscy byli zrównani i złączeni w śmierci.

. . . .

Gdy na Anioł pański biją dzwony, to płyną tony i wgłąb ludzkiego ducha, bo i tam nieraz leżą gruzy i sterczą ruiny i zwaliska. I również jak na cmentarzu ludzkiego życia, leżą i tu marzenia, sny, nadzieje, pragnienia niedokonane, bo wcielić ich nie dozwoliło życie, zmarniale myśli

i idee, bo wypowiedzieć ich nie było wolno, stargane siły, złamane charaktery, zdruzgotane święte, szlachetne czyny, bo poczytane były za występne i zbrodnicze.

I tylko od czasu do czasu zbudzone świeżym podmuchem drgną te cmentarne pokłady naszych myśli i — znów płyną dni zwątpienia i lata rezygnacyi — i chyba tylko kwiat wspomnień wykwitnie, że było jasne, promienne niegdyś życie i że dzisiaj pod niem leżą gruzy i popioły...

Więc w chwilach tych, gdy tam na ludzkich grobach cmentarne zapłoną ognie, niechaj ci żywi, co niosą drogim cieniom swoim wieńce — nie zapomną również i o tych mrocznych otchłaniach narodowego ducha — niech wniosą i tam — światło — pokrzepienie — nadzieję...

Niech wspomną zmarnotrawione przeszłe chwile, w zwątpieniu i nicości; niech wspomną te groby myśli naszej i tę przymusową martwotę długich lat...

Niemniejszy to też cmentarz życia!

I śmierć tych cząstek naszego ducha, jest również krwawa i bolesna, jak śmierć tych istot ludzkich i groby ich, ubożą społeczność — naród — kraj.

Jeżeli więc wszystko na świecie ginie i umiera, rozwiewa dymem, rozsypuje prochem, to niech choć tam, w krainach ducha zapłonie życie

wieczne — nieśmiertelne, jak tych tam blizkich, drogich, świętych dusz, by każdy z nas u końca mógł powiedzieć sobie: *Non omnis moriar!* — nie umrę wszystek!...

»Na Anioł Pański biją dzwony!...«

Wilno 1907.

SPIS RZECZY.








1000174508